

# III seminarium: “Narracje muzealne o komunizmie w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej trzydzieści lat po transformacji”

## ohistorie



**III Seminarium : 21 stycznia 2019 r., godz. 17:00**

Portal [Ohistorie.eu](http://ohistorie.eu) wraz z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN” organizują „Spotkania w Bramie” – cykl otwartych seminariów humanistycznych pod patronatem Towarzystwa Historiograficznego, poświęconych historii Lubelszczyzny i tematyce badań nad Europą Środkowo-Wschodnią.

**“Narracje muzealne o komunizmie w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej trzydzieści lat po transformacji”.**

Tematem trzeciego spotkania będą muzea historyczne jako instrument kreowania polityki pamięci i polityki historycznej w tym (auto)wizerunków poszczególnych narodów. Chcielibyśmy ująć to zagadnienie pod kątem kształtowania się pamięci zbiorowych społeczeństw połączonych wspólnym doświadczeniem “realnego komunizmu” oraz sterowanych odgórnie mechanizmów powstawania oficjalnych kanonów pamięci w krajach zza “żelaznej kurtyny”. Tej właśnie problematyce poświęcona jest najnowsza książka Anny Ziębińskiej-Witek pt. *Muzealizacja komunizmu w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej*, która stanowić będzie punkt wyjścia i kanwę debaty.

**W dyskusji udział wezmą:**

**prof. Anna Ziębińska-Witek (UMCS)**

**prof. Izabela Skórzyńska (UAM)**

**prof. Rafał Wnuk (KUL)**

Termin: 21 stycznia 2019 r., godz. 17:00

Miejsce: Sala Czarna, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, ul. Grodzka 21.

Wstęp wolny



**Anna Ziębińska-**

**Witek, *Muzealizacja komunizmu w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej*,  
Wydawnictwo UMCS, Lublin 2018.**

Fragment Wstępu:

„Muzea publiczne były od początku swego istnienia instytucjami propagującymi określone prorządowe wartości oraz służące potrzebom państwa i dominującym grupom interesów w jego obrębie. Pomimo że współcześnie podlegają wieloaspektowym transformacjom, które wynikają głównie z pojawienia się nowych reguł społeczno-kulturowych i zaawansowanych technologicznie rozwiązań stosowanych na ekspozycjach, to jednak nie sposób nie zauważyć ciągłości w głównych założeniach i misji instytucji. Szczególnie dotyczy to muzeów historycznych, które chętnie prezentują się jako instytucje neutralne i niezaangażowane (etycznie i politycznie), jednak są głęboko zainteresowane władzą polegającą na nadawaniu znaczeń przeszłości i teraźniejszości oraz reprezentowaniu i kreowaniu oficjalnych wersji historii stających się (w założeniu) ogólnie przyjętymi poglądami. (...) Prezentowane przeze mnie analizy dotyczą historii najnowszej, czyli okresu szczególnie wrażliwego, obejmującego wydarzenia, których świadkami lub uczestnikami byli członkowie najstarszej generacji danego społeczeństwa. Przeszłość najnowsza to mniej więcej osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt ostatnich lat. Patrząc z tej

perspektywy trzydzieści lat, które minęły od upadku komunizmu, to niedługo, można więc założyć, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej są wciąż w stanie transformacji i przepracowywania lub osvajania wydarzeń niedawnej epoki. Społeczeństwa byłego bloku wschodniego na pewno też mają większe niż ustabilizowane demokracje zachodnie potrzeby w zakresie samoidentyfikacji i tworzenia opowieści integrujących. Ekspozycje historyczne są kluczowym elementem tych procesów jako czynniki instytucjonalizacji (muzealizacji) historii oraz rezerwuar sposobów reprezentacji przeszłości.”

---

## Gry na komputer dla „człowieka z ulicy” – ZX Spectrum

**BARTŁOMIEJ STOLARZ**

### **Gry na komputer dla „człowieka z ulicy” – ZX Spectrum**

„Człowiek XXI wieku nieumiejący posługiwać się komputerem będzie się prawdopodobnie czuł jak analfabeta w wieku XX. Zastanawiający jest entuzjazm młodego pokolenia, z jakim chłonie ono wiedzę o programowaniu i jak chętnie bawi się czy pracuje z komputerem. Tak jakby jakieś podświadome przeczucie podpowiadało młodym ludziom, że wiedza ta będzie im w najbliższym czasie najbardziej potrzebna” (Siwiński 1985, s. 2). Takie słowa można było usłyszeć od profesora Jacka Baranowskiego na wykładzie inaugurującym semestr zimowy Uniwersytetu Warszawskiego w 1985 r.

Pod koniec lat 70. komputery stały się dość popularne, choć nadal stosunkowo drogie, przez co spotykano je głównie w szkołach lub biurach. Wszystko zmieniło się za sprawą człowieka, którego motto brzmiało „komputer w każdym domu” – sir Clive’a Sinclaira. „Przez całe stulecie mówiliśmy o nadchodzącej rewolucji i o końcu pracy ludzkich rąk. Teraz ta przepowiednia się spełnia. Nagle tańsze stało się kupienie maszyny, która myśli za człowieka, niż zatrudnianie tego człowieka” (Ferency 2007). Clive Sinclair urodził się w 1940 r. w Anglii. W czasie nauki dorabiał sobie, pisząc rozmaite instrukcje techniczne do gazet. W 1961 r. założył pierwszą firmę, a w 1972 r. odniósł pierwszy sukces, tworząc pierwszy kieszonkowy kalkulator. Największe sukcesy firma Sinclaira osiągnęła jednak na początku lat 80., kiedy to Clive postanowił się skupić na rynku komputerów. Sam Sinclair tak wspomina tamten moment: „Moim celem było uzyskanie jak najniższej ceny, zejście do 100 funtów zamiast 500. W ten sposób po raz pierwszy na świecie mogliśmy sprzedawać komputer »człowiekowi z ulicy«. Pierwsi nabywcy kupowali maszynę, aby uczyć się programowania, lecz z czasem to rynek gier zaczął dominować” (Rollings 2005, s. 3). Sinclair wszedł na rynek dwoma komputerami ZX 80 i ZX 81. Maszyny te cieszyły się sporym powodzeniem, zwłaszcza model z 1981 r. – ZX 81. W ciągu dwóch lat sprzedano ponad milion egzemplarzy tego komputera.



Prawdziwy sukces osiągnął jednak dopiero model z 1982 r. – ZX Spectrum. Komputer kosztował 99 funtów w wersji z 16 kB pamięci i 129 funtów w wersji z 48 kB pamięci (Konzack 2008, s. 203). Był to pierwszy komputer zdolny wygenerować kolorową grafikę w cenie poniżej 100 funtów. Ze względu na niską cenę nie był jednak pozbawiony wad. Dużo problemów sprawiała gumowa klawiatura. Była ona bardzo niewygodna, a wiele gier wymagało jej do obsługi. Po częstym i długotrwałym użytkowaniu litery na poszczególnych klawiszach stopniowo znikwały. Na szczęście istniała możliwość dokupienia joysticka. Kolejnym problemem był dźwięk, który często brzmiał jak słabej jakości rozmowa telefoniczna. Niemniej mimo tych problemów komputer okazał się strzałem w dziesiątkę. Za propagowanie cyfryzacji w domach zwykłych Brytyjczyków Clive Sinclair otrzymał od Elżbiety II tytuł szlachecki. Komputer stał się popularny nawet w Polsce, oddzielonej wtedy od zachodniego świata „żelazną kurtyną”\*. Stało się tak głównie dzięki grom. Jak piszą autorzy *Przewodnika po ZX Spectrum*: „Sir Clive Sinclair oraz zespół projektantów nie przypuszczali zapewne, że komputer ten zrobi w Polsce tak oszałamiającą karierę. Któż bowiem mógł przewidzieć, że znajdzie on zastosowanie do sterowania procesami technologicznymi czy też będzie wykorzystany do prowadzenia prac badawczych w instytutach naukowych. Prawdą jest jednak, że najczęściej jest używany do zabawy” (Kuryłowicz i in. 1986, s. 8).

Gier na ZX Spectrum powstało wiele. Jedną z najbardziej znanych jest *Hobbit* – adaptacja powieści J.R.R. Tolkiena. Dla użytkowników nowego komputera Sinclaira gra okazała się pierwszym wielkim przebojem. Została wydana przez Melbourne House. Firma, która



początkowo zajmowała się sprzedażą książek, widząc rosnącą popularność komputerów domowych, postanowiła spróbować sił w produkcji gier. Prezes Alfred Milgrom postanowił, że jego firma stworzy coś lepszego i większego niż to, co było dotychczas dostępne na brytyjski mikrokomputer. Na uniwersytecie w Melbourne zamieścił ogłoszenie, że poszukuje studentów informatyki, którzy byliby zainteresowani pracą na pół etatu przy produkcji gier wideo. Jako pierwsza odpowiedziała Veronika Megler. Milgrom dał jej proste zadanie: „Masz stworzyć najlepszą grę przygodową, jaka kiedykolwiek powstała” (Manher 2012). Veronika przed podjęciem pracy przy nowym produkcie Melbourne House grała tylko w jedną grę, Colossal Cave Adventure. Uznała ją za zbyt statyczną. Już po pierwszym jej przejściu nie chciało się do niej wracać, gdyż przy kolejnej rozgrywce wszystko pozostawało takie same. Veronika postanowiła stworzyć świat, który będzie żył swoim własnym życiem. Wyobrażała sobie dynamiczne środowisko, w którym inne postacie poruszają się niezależnie od woli gracza i często są zajęte swoimi własnymi problemami, nie mając czasu dla głównego bohatera. Przypominało to bardziej prawdziwy świat niż hermetyczną grę. Wraz z programistą Philipem Mitchellem stworzyła Hobbita, który zrewolucjonizował gry przygodowe.

Gra ukazała się w Wielkiej Brytanii w 1982 r. Kosztowała 14 funtów, ponad dwukrotnie więcej niż większość ówczesnych gier i programów dostępnych na mikrokomputer Sinclaira. Nie przeszkodziło jej to jednak w sprzedaży. *Hobbit* sprzedał się w nakładzie ponad 500 tysięcy kopii. Stał się najpopularniejszą grą stworzoną na ZX Spectrum. W grze, podobnie jak w powieści Tolkiena, gracz wcielał się w hobbita Bilbo Baginsa, który wraz z czarodziejem Gandalfem i krasnoludzką kampanią Thorina wyruszał, by odbić dawną siedzibę krasnoludów – Samotną Górę, okupowaną przez złego smoka Smauga. Hobbit witał grającego tekstem: „Znajdujesz się w schludnym, przypominającym tunel holu. Na północy widzisz zaokrąglone, zielone drzwi”. Na ekranie komputera oprócz tekstu widoczna była graficzna ilustracja miejsca, w którym gracz się obecnie znajdował. Porozumiewał się z komputerem nie przy użyciu prostych fraz (GO WEST, TAKE RING, jak w Colossal Cave Adventure), lecz za pomocą języka ENGLISH. Został on stworzony na potrzeby *Hobbita* i sprawiał, że „[g]ra należy do najbardziej skomplikowanych programów, jakie wymyślono dla mikrokomputera” (Brajek 1986, s. 12). W ramach ENGLISH twórcy zastosowali do gry kilkaset

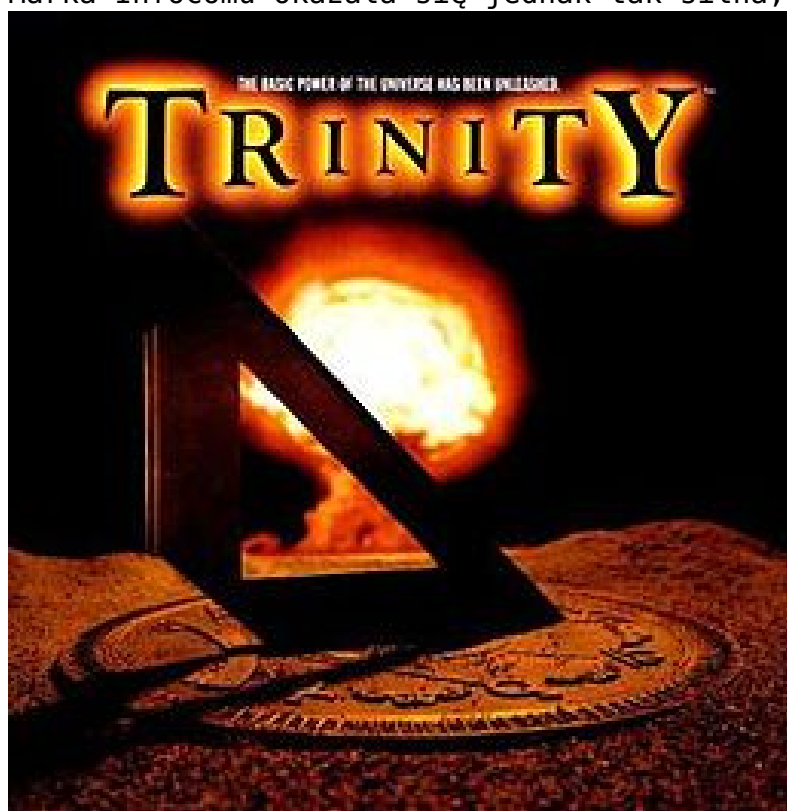
angielskich słów, z których można było skorzystać podczas komunikacji z komputerem. Oprócz prostych poleceń typu RUN czy CLIMB mogliśmy używać całych zdań, np. WITH THE SWORD CAREFULLY ATTACK THE TROLL. Co więcej, umożliwiono nawet nieznaczne zmiany szyku zdania, np. ATTACK THE TROLL CAREFULLY WITH THE SWORD. Obie te komendy sprawiały, że postać ostrożnie atakowała trolla mieczem. Przy użyciu INGLISH mogliśmy bardzo dokładnie określić, co naszym zdaniem powinien zrobić bohater. Największą zaletą gry był jednak niezależny świat. Wszyscy bohaterowie poruszali się niezależnie, podejmując własne decyzje. Redaktorzy „Bajtki” dzielili się z czytelnikami cennymi poradami, takimi jak: „Nie mów na raz zbyt dużo do jednej osoby, bo pomyśli ona, że jesteś nudziarzem i nie będzie chciała z tobą rozmawiać. Czas płynie i gdy zwlekasz z wykonaniem jakiejś czynności, może zaistnieć zupełnie nieoczekiwana dla ciebie sytuacja, ponieważ inne postacie w tym samym czasie coś przecież robią” (tamże, s. 15). Te wskazówki pomagają nam uzmysłwić sobie, jak skomplikowaną, trudną i dalece innowacyjną grą był *Hobbit*. „W tej grze jeden problem można rozwiązać na wiele sposobów i dlatego też, gdy zaczynasz grę od nowa, możesz spotkać się z zupełnie innymi sytuacjami. A więc za każdym razem masz szansę przeżyć zupełnie nową przygodę” (Cunningham 1984, s. 6). Melbourne House, idąc za ciosem, wydało kontynuację *Hobbita* na podstawie trylogii Tolkiena. Jednak gry *The Lord of the Rings* i *Shadow of Mordor* nie odniosły większego sukcesu (Rolling 2005, s. 7).



W sferze gier przygodowych w latach 80. niepodzielnie królowała firma Infocom. Założyli ją ludzie związani z MIT, z profesorem Albertem Vezzą na czele. Postanowili oni tworzyć gry przygodowe w starym stylu bez żadnych uproszczeń i ułatwień, żadnych dodatków graficznych, lecz jedynie tekst. Ich pierwszy twór, *Zork*, nawiązywał do popularnych gier planszowych spod szyldu *Dungeon & Dragons*. Gra powstawała na uniwersyteckim komputerze DEC PDP-10. Problem polegał natym, że maszyna ta nie była powszechnie dostępna. By przedstawić grę szerszemu gronu odbiorców, autorzy zdecydowali się ją wydać na Apple II i TRS-80. W tym celu musieli bardzo

odchudzić swój produkt, który w finalnej wersji na uczelniany komputer zajmował cały megabajt pamięci (Anderson 2006). W tym czasie była to wartość niewyobrażalna. Aby gra zmieściła się na urządzeniu Apple, musiała być pomniejszona aż 30-krotnie. Zdecydowano się skrócić grę o połowę i uprościć język, w jakim gracz komunikował się z maszyną. Wreszcie udało się i gra zadebiutowała na początku 1980 r. Nie była tak doskonała, jak planowano, ale dla wielu osób stała się pierwszą grą przygodową. Szczególnie cenili ją sobie przeróżni intelektualiści, dla których zbyt trywialne wydawały się gry na konsole. W produkcie Infocomu wcielaliśmy się w poszukiwacza przygód, który przeszukiwał ukryte pieczary w poszukiwaniu skarbów. Gra została przeportowana na większość komputerów 8-bitowych.

Produkcje Infocomu, choć nie tak innowacyjne jak *Hobbit*, miały w sobie magię. Interfejs tekstowy, w którym umieszczono grę, już w połowie lat 80. był mocno przestarzały. Wiele gier przygodowych używało w tych czasach ilustracji. Marka Infocomu okazała się jednak tak silna, że



mimo niedoskonałości ludzie kochali gry tej firmy. Były one trudne, nierzadko gracz nie mógł się domyślić, co ma zrobić, by przejść dalej, ale dla wdrożonych graczy, wychowanych na fabularnych grach planszowych spod znaku *Dungeon & Dragons*, nie stanowiło to problemu. Świetna fabuła, intryga, i klimat w zupełności wystarczały fanom. *Zork* i jego kontynuacje z czasem stały się tak popularne, że gry te wydawano w formie książkowej, jak tzw. gry paragrafowe. Przykładem świetnej i nietypowej opowieści jest *Trinity*. W grze wcielaliśmy się w turystę, który przyleciał na wakacje do Londynu. Podczas zwiedzenia Ogrodów Kensington jest on świadkiem wybuchu pocisku jądrowego i rozpoczęcia III wojny światowej. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności bohater znajduje szczelinę czasoprzestrzenną, która pozwala mu być świadkiem kolejnych autentycznych wybuchów jądrowych. Odwiedzamy tu miejsca najważniejszych wybuchów: pierwszą próbę na wodzie (atol Eniwetok, 1947), podziemną (Nevada, 1974), wybuch w Nagasaki (1945), pierwszą radziecką próbę na Syberii (1949).

W końcu docieramy do tytułowego wybuchu – Trinity – pierwszego testu nuklearnego w historii (1945). Gra, choć sporo w niej fantastyki naukowej, bardzo dokładnie przedstawia te wydarzenia historyczne. Przez wielu grających została doceniona za wspaniałą fabułę (Gijsbers 2011). Było to w końcu coś innego niż wałkowane na okrągło podziemia i smoki. Niemniej brak jakichkolwiek elementów graficznych w kolejnych grach Infocomu zaczął się mścić. Firma znacznie podupadła, nie mogąc konkurować z grami przygodowymi, które zaczęły się opierać na interfejsie graficznym. Pod koniec lat 80. Infocom został rozwiązany.

Nie wszyscy posiadacze ZX Spectrum chcieli grać w zaawansowane gry tekstowe pokroju *Zorka* czy *Hobbita*. Czasami potrzeba było tytułu lekkiego, przy którym zamiast ćwiczyć intelekt, gracz ćwiczył koordynację mięśniową. W tym celu stworzono na ten mikrokomputer sporo



gier platformowych, które bardzo przypominały krewnych z konsol i automatów. Jedną z najprostszych i bardzo popularną była gra *Jumping Jack*. Rozgrywka polegała na wskakiwaniu na coraz wyższe piętra galerii i jednoczesnym unikaniu dziur w platformach oraz ścigających głównego bohatera Jacka parowozów i autobusów. Gra miała bardzo słabą grafikę (porównywaną do pierwszych produkcji na A2600), szczątkowe efekty dźwiękowe i strategię, która praktycznie nie wymagała myślenia. Dlaczego gra odniosła sukces i w wielu rankingach gier na ZX Spectrum wyprzedziła o wiele bardziej rozbudowanego *Hobbita*? Jak pisze redaktor „Bajtka”: „Zawsze w górę! W tych dwóch słowach można zamknąć sens całej zabawy [...]. Dlaczego więc ta prosta – nieżyczliwi mogliby powiedzieć prymitywna – gra plasuje się na czołowych miejscach list przebojów? (Nie tylko w Bajtku). Dlaczego oceniana jest wyżej niż wiele innych, pozornie bardziej efektownych? Na te pytania nie da się odpowiedzieć, nim nie zawrze się osobistej znajomości ze sławnym podróżnikiem o imieniu Jack. Może znudziło nam się ciągłe strzelanie do statków obcych, zabijanie potworów i demonów, zatapianie okrętów. Warto czasem poskakać sobie dla utrzymania kondycji” (Brajek 1986, s. 18).

Oczywiście pojawiały się też bardziej ambitne platformery. W 1983 r. zadebiutował *Manic Miner*, gra znacznie przewyższająca Jacka grafiką. Tytułowy górnik Willy natrafia podczas pracy na zagubiony szyb kopalni. Badając go, odkrywa ślady dawno zaginionej cywilizacji. Gra miała 20 poziomów, w których naszym celem było zebranie wszystkich świecących kluczy. Przy ich użyciu mogliśmy odblokować drzwi, które prowadziły do kolejnego poziomu. Trzeba było



się śpieszyć, ponieważ w każdej planszy istniał limit czasowy, wyrażany za pomocą pozostałego tlenu. Każda plansza różniła się od poprzedniej. *Manic Miner* to zarazem pierwsza gra na ZX Spectrum, w której w czasie zabawy przygrywał nam dźwięk (Poprawa 2014, s. 89). Na ekranie tytułowym autorzy umieścili animację klawiatury fortepianowej, która odgrywała *Nad pięknym modrym Dunajem* Johanna Straussa. *Manic Miner* może się wydawać dzisiaj trywialną grą platformową, lecz u początków życia ZX Spectrum była to jedna z najlepszych gier na tę maszynę.

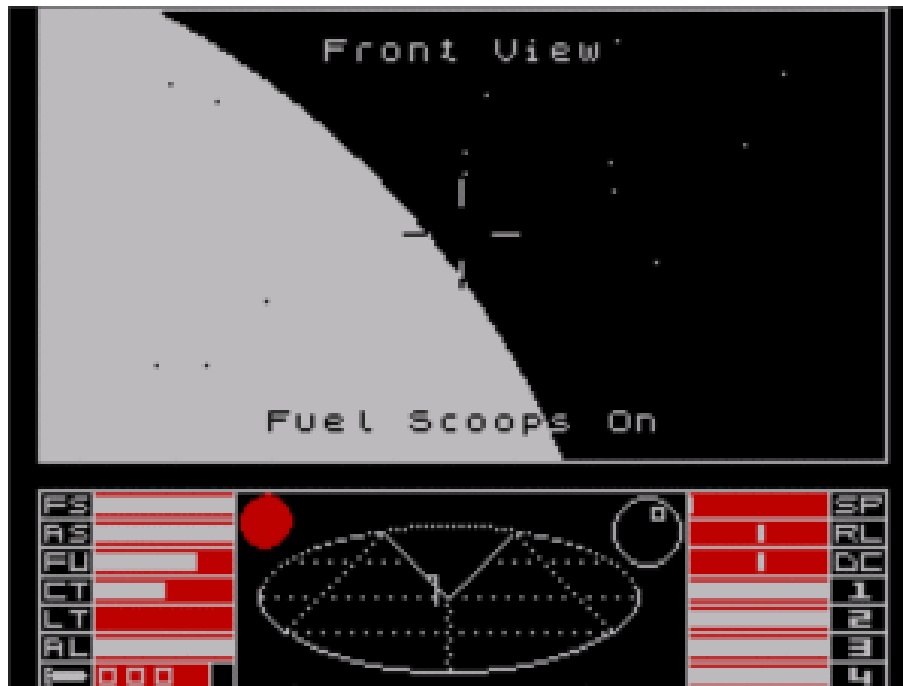


Matthew Smith, twórca

Willy'ego, widząc pozytywny odbiór swojej gry, postanowił kuć żelazo póki gorące i zapowiedział kontynuację przygód znanego górnika. Na początku 1984 r. wszystkie magazyny z branży gier wideo żyły tylko sequelem *Manic Minera*. Do prasy docierały wycieki z nowo powstającej gry (Kean 1984a, s. 25). Kontynuacja ukazała się w kwietniu 1984 r. *Jet Set Willy* okazał się hitem. W recenzji magazynu „Crash” dostał 95 punktów na 100 możliwych (Kean 1984b, s. 8). Willy dorobił się olbrzymiej fortuny i kupił sobie olbrzymi dom.

Zadaniem gracza było uprzątnięcie nieładów w nowym domu naszego bohatera. Żona Willy'ego nie chciała go wpuścić do sypialni, dopóki nie posprząta on domu. Gra była bardzo rozbudowana. Dom miał aż 60 pomieszczeń, podczas gdy *Manic Miner* tylko 20 plansz. Każde było inne i w każdym krył się jakiś ciekawy lub zabawny pomysł. Ponadto między pomieszczeniami mogliśmy się dowolnie poruszać. Inaczej było w pierwszej części, gdzie po uzbieraniu kluczy przez Willy'ego wchodziliśmy do nowej planszy, bez możliwości powrotu do poprzedniej. Gracz nie był już ograniczony czasem, mógł więc w spokoju przeszukiwać dom. Gra miała tylko jedną wadę. Nie można było jej skończyć. Wydawca tak bardzo naciskał na Smitha z terminem, że ten nie dokończył całego kodu gry. W efekcie nie dało się pozbiierać wszystkich rozrzuconych przedmiotów. Mimo to gra była po prostu świetna, a niemożność jej ukończenia uznano za niewielki minus.

W 1984 r. powstała gra, która jako pierwsza przetarła szlaki dla nowego gatunku – symulatorów kosmicznych. Stworzona przez Davida Brabena i Iana Bella, po raz pierwszy pokazała graczom ogrom możliwości komputerów.



*Elite* było tak naprawdę mieszaniną 2 gatunków, które powstały już wcześniej – kosmicznego handlarza i symulatora lotu. Gra była tak naprawdę jedną wielką piaskownicą, w której gracz mógł się wcielić w handlarza, szmuglera, odkrywcę czy łowcę głów. Nie było żadnej z góry określonej ścieżki. To człowiek decydował, co w danej chwili będzie robił. Gra, jako pierwsza na ZX Spectrum, posiadała wektorową grafikę 3D, którą wcześniej podziwiać można było tylko na najmocniejszych automatach. Gra była też dosyć realistyczna np. już w połowie podróży międzyplanetarnej należało zacząć zwalniać, by nie roztrzaskać się o powierzchnię planety. Największych problemów dostarczało autorom zbudowanie wszechświata. Na 32 kB pamięci komputera BBC Micro, na który pierwotnie była projektowana gra, nie można było „upchnąć” wszystkich światów. Autorzy zdecydowali się więc napisać algorytm, który generowałby proceduralnie 8 galaktyk po 256 ciał niebieskich każda.

Żeby uświadomić sobie, jak skomplikowany jest proces generowania proceduralnego, trzeba zobaczyć, jak takie generowanie świata przebiega. W zarządzanym twardą logiką świecie mikroprocesora ciężko jest znaleźć uczciwe źródło liczb losowych – nie chcemy przecież, by wirtualna kość wyrzucała same jedyńki lub szóstki. W tym celu stosuje się tzw. ziarno. Jest to jedna nieustannie zmieniająca się wartość, np. twórcy *Elite: Dangerous* zastosowali w tym celu liczbę milisekund, które upłynęły od północy 1 stycznia 1970 r. (Wołczyk 2015, s. 86). Po użyciu „ziarna” w naszym generatorze mikroprocesor wykonuje długi ciąg skomplikowanych obliczeń matematycznych, aby uzyskać ciąg różnorodnych, przypadkowych wyników. W tym momencie mamy do dyspozycji całkowicie uczciwą wirtualną kość, której wszystkie rzuty zależą od zastosowanego „ziarna” – w momencie jego wyboru wszystkie dalsze rzuty da się już przewidzieć, choć jest to bardzo trudne. Tak więc cała zawartość świata gry była generowana dopiero podczas jej uruchomienia. Ta sztuczka sprawdza się bardzo dobrze do dzisiaj. Na przykład, to dzięki generowaniu proceduralnemu w *No Man’s Sky* możemy zwiedzać kosmos z 18 kwintylionami! planet. Dzięki niemu też w najnowszej grze Davida Brabena, *Elite: Dangerous*, jest możliwe zasymulowanie trwających miliardy lat procesów powstawania poszczególnych układów planetarnych. Tym samym wszystkie ciała niebieskie

działają według powszechnych praw rządzących kosmosem, np. odległość od gwiazdy wpływa na wielkość i masę planety. Recenzent magazynu „Crash” tak pisał o tej grze: „Elite jest jedną z najbardziej pomysłowych gier, jakie kiedykolwiek zostały napisane na komputer domowy. Właściciele ZX Spectrum powinni być zachwyceni, że mogą zagrać w tę wspaniałą grę (Kidd 1985, s. 28)”. Elite dostała w tym piśmie bardzo wysoką ocenę 92/100. Przyrównując tę grę do np. Jumping Jacka, możemy zaobserwować, jak dalece ewoluowały gry wideo w ciągu zaledwie roku.

W końcu jednak Spectrum stał się komputerem mocno przestarzałym, gracze przesiadali się na konkurencyjne Commodore 64 lub na szybką niczym błyskawica Amigę. Redaktor „Top Secretu” w 1991 r. stwierdził: „Wszyscy wiedzą, że Spectrum jako komputer jest skończony i to, co się z nim dzieje, to ostatnie podrygi konającej ostrygi (niech Spectrumowcy się nie gniewają). Nie każdy jednak zdaje sobie sprawę, ile dobrego przyniósł ten komputer. To on torował iście cierniową drogę, której cel nadal pozostaje poza horyzontem. Każdemu komputerowi życzę takiej pięknej śmierci” (Czekajewski 1991, s. 26).

## Przypisy

\* Przy użyciu ZX Spectrum doszło do jednej z najbardziej spektakularnych akcji hakerskich na świecie. Jan Hanasz, członek toruńskiej Solidarności, używając telewizora i ZX Spectrum, stworzył system elektroniczny, który mógł emitować sygnały telewizyjne i je synchronizować z sygnałami nadajnika rządowego. Dzięki temu pojawiła się możliwość nakładania na obraz emitowany przez TVP napisów i prostych figur geometrycznych. Pierwsza emisja tzw. TV Solidarność nastąpiła 14 września 1985 r. W czasie emisji popularnego programu „07 zgłoś się” przez 4 minuty emitowano hasła propagandowe Solidarności. Kolejną transmisję przeprowadzono kilka dni później. Materiał wyemitowano podczas „Dziennika Telewizyjnego” – w czasie największej oglądalności. Transmisja została jednak namierzona i działacze podziemnego związku aresztowano. Wyrok – półtora roku w zawieszeniu – zapadł kilka miesięcy po aresztowaniu (Polak 2003, s. 341–343).

## Bibliografia

Anderson T. (2006), *The history of Zork – Second In a series*, <https://web.archive.org/web/20060427000213/http://www.csd.uwo.ca/Infocom/Articles/NZT/zorkhist.html> (dostęp 25.01.2016).

Brajek T. (1986), *Zagraj z Bajtkiem, Bajtek z mikrokomputerem na ty*, „Bajtek”, nr 2.

Czekajewski Ł. (1991), *Sinclair User, Top Secret*, „Top Secret”, nr 4/5.

Cunningham G. (1984), *Aid for Hobbit fan, Micro Adventurer*, „Bajtek”, nr 5.

Ferency A. (2007), *Wywiad z Clive'em Sinclairem w programie Rock & Roll historia Powszechna*, Program Trzeci Polskiego Radia, <https://archive.org/details/02-Rockroll-historiaPowszechna-PrzekrojCz.2.mp3> (dostęp 5.01.2016).

Gijsbers V. (2011), *Results The Interactive fiction Top 50*, <http://www.intfiction.org/forum/viewtopic.php?f=23&t=3272> (dostęp 25.01.2016).

- Kean R. (1984a), *Maniac Millionaire*, „Crash”, nr 2.
- Kean R. (1984b), *Jet Set Willy*, „Crash”, nr 5.
- Kidd G. (1985), *Elite*, „Crash”, nr 11.
- Konzack L. (2008), *Video Games in Europe*, [w:] *The Video Game Explosion. A History from Pong to Playstation and Beyond*, red. M.J.P. Wolf, London.
- Kuryłowicz K., Madej D., Marasek K. (1986), *Przewodnik po ZX Spectrum*, Warszawa.
- Manher J. (2012), *The Hobbit*, <http://www.filfre.net/2012/11/the-hobbit/> (dostęp 23.01.2016).
- Polak W. (2003), *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i regionie toruńskim (13 XII 1981 – 4 VI 1989)*, Toruń.
- Poprawa J. (2014), *The Best of ZX Spectrum*, „CD Action”, nr 11.
- Rollings A. (2005), *ZX Spectrum book 1982 – 199x*, Atlanta.
- Siwiński W. (1985), *Słowa i fakty, Bajtek z mikrokomputerem na ty*, „Bajtek”, nr 11.
- Wołczyk M., (2015), *Wyrzuć sześć, by stworzyć świat*, „CD Action”, nr 12.
- RP [pseudonim] (1986), *Jumping Jack, Bajtek z mikrokomputerem na ty*, „Bajtek”, nr 2.

Korekta językowa: Beata Bińko

---

## [Historia, misja i likwidacja Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej. Rozmowa z dyrektorem prof. Mirosławem Filipowiczem](#)

Realizacja wideo: Piotr Witek



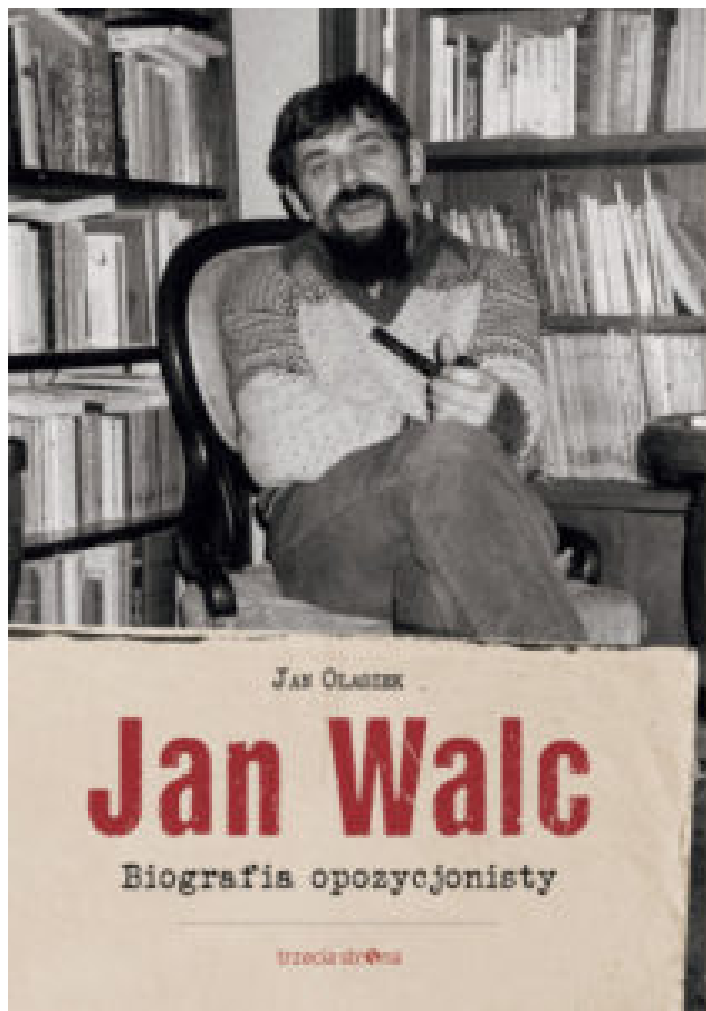
Zapraszamy Państwa do obejrzenia i wysłuchania wywiadu z dyrektorem Instytutu Europy Środkowo Wschodniej w Lublinie prof. Mirosławem Filipowiczem na temat historii i misji Instytutu oraz jego likwidacji przez obecne władze. Rozmowę przeprowadził w siedzibie IEŚW przy ul. Niecałej 5 w Lublinie, 08.12.2018r. prof. Sławomir Łukasiewicz. Na zakończenie wywiadu prof. Mirosław Filipowicz oprowadził kamerę po budynku Instytutu.

---

\* Przepraszamy za nienajlepszą momentami jakość dźwięku. Podczas nagrania awarii uległ sprzęt rejestrujący.

---

**[Szałony opozycjonista?](#)**



MARCIN KULA

### Szalony opozycjonista?

Jan Olsztek, *Jan Walc. Biografia opozycjonisty*, Trzecia Strona, Warszawa 2018, ss. 439.

Autor przedstawia swoją książkę jako naukową (s. 12). Zastanawiam się, w czym wyraża się jej charakter naukowy w porównaniu do biografii powstających staraniem nienaukowców. Czy w tym, że autor systematycznie wykorzystał jak największą bazę materiałową? Chyba nie, bowiem w pewnym typie publikacji każdy powinien podjąć wysiłek w takim kierunku. Więc może o naukowości decyduje pomieszczenie przypisów? No cóż, każdy uczciwy autor powinien podać, skąd zaczerpnął wiadomości. Czy w końcu o naukowości stanowi język? Książka naukowa, jak wiadomo, powinna być pisana drewnianym językiem i nie nadawać się do czytania przez szerszą publiczność. Jeżeli jednak tak, to Olsztek nie spełnia owego kryterium. Książkę dobrze się czyta! Nawet więc jeśli autor w swoim miejscu pracy nie dostanie za nią punktów, na których opiera się współczesna nauka – skoro książkę „się czyta”, nie została wydana w wydawnictwie naukowym i niezbyt wiadomo, do jakiej dyscypliny ją zaliczyć – to ja uznaję ją za ciekawą, wiele przynoszącą i wartą przeczytania. W szczególności cenię zajęcia się przez autora-historyka zjawiskami zachodzącymi swego czasu w środowisku literaturoznawców oraz w samej literaturze. Może te nieszczęsne podziały pół między dyscyplinami, u nas o solidności muru berlińskiego, zaczną się w końcu łamać. Tyle wstępu.

\*

Istnieją różne typy biografii. W wypadku niektórych przedmiotem zainteresowania jest sam człowiek, a motywem pisania chęć zrozumienia go, czasem też chęć lepszego zrozumienia dróg powstawania jego dzieł. W innych wypadkach biografia daje pretekst do studiowania epoki, pokolenia, interesującego środowiska. Praca Olaszka jest bliższa temu drugiemu modelowi. Nie wiem, czy takie było zamierzenie autora. Postać Jana Walca z pewnością go fascynuje. Brutalnie jednak mówiąc, historycy nie są najlepiej przygotowani do zajmowania się rozgrywaniem przez bohatera jego dylematów, wnikaniem w psychologię itd. Powieściopisarze i dziennikarze robią to lepiej (może psychologowie też, ale ich jeszcze trudniej czytać niż historyków-naukowców). Nadto autor, jako przyzwoity historyk, chce badać dzieje, a nie psychologię bohatera. Nawet zastrzega się, że trudno mu przedstawiać niektóre sprawy, jako dotyczące życia prywatnego (w kontekście stania się Walca ojcem w wieku 19 lat, s. 34: „Trudno o takich sprawach pisać, mają one charakter typowo prywatny. Nie sposób jednak ich pominąć, bo bez uwzględnienia tego kontekstu nie da się zrozumieć późniejszych wydarzeń”; w kontekście odejścia od żony, s. 339: „O najważniejszej z nich [ze zmian w życiu bohatera – M.K.] trudno mi pisać, bo dotyczyła życia prywatnego, ale nie sposób jej w biografii pominąć”). Rozumiem i podzielam autorskie zahamowania. Ograniczają one jednak drastycznie możliwość przyjrzenia się człowiekowi. Dlaczego Walc był takim oryginałem, buntownikiem nawet wobec własnych rodziców, po prostu buntownikiem „na okrągło”? Jakkolwiek by to paradoksalnie brzmiało, nawet jego wczesne wstąpienie do ZMS-u sam tłumaczyłbym chęcią aktywności i buntem wobec marazmu bądź wobec postawy wielu kolegów – jeśli oczywiście przywiązywać wagę, jak czyni autor, do decyzji, która wtedy mogła być bardziej rutynowa niż znacząca.

Autor przedstawia recenzje pisane przez Walca. One niewątpliwie go bawią, bawią też czytelnika. Inteligentne, a złośliwe recenzje na ogół bawią. Nie wszyscy jednak pisali i piszą recenzje w takim stylu; sam, szczerze mówiąc, na ogół piszę w innym i widzę w tym więcej sensu. Bohater książki – sądząc z przedstawionego obrazu – wydaje mi się trochę... zarozumiały, a może przemądrzały? Jak inaczej mógłby tak mocno stać na stanowisku, że jako jedyny ma rację? Jak mógłby przejeżdżać się po innych tak ostro i agresywnie? A może to autor bardziej zwracał uwagę na mocne recenzje i wypowiedzi Walca? Prawda, wobec tzw. przeciętnych ludzi ten sam Walc nie jest przemądrzały. To z pewnością można zapisać na jego dobro – ale wobec innych piszących i działających jest jak przysłówkowa brzytwa. Czy dlatego, że się taki urodził? Może. Tyle że w badaniach na ogół nie potwierdza się istnienia takich skłonności od urodzenia. Ani na przykład w odniesieniu do zbrodniarzy hitlerowskich z jednej strony, a do Sprawiedliwych z drugiej, nie wykrywano jakichś predyspozycji w jednym lub drugim kierunku. W obu sytuacjach byli to – przynajmniej na początku – zupełnie normalni ludzie, którzy skierowali się jednak w różne strony. Skądinąd trudno mi zaakceptować tezę Philipa Zimbardo, że środowisko z każdego może zrobić łajdaka – tak bowiem nie jest. W kwestii robienia z nas aniołów przez środowisko – o ile wiem – Zimbardo nie wypowiadał się. Pytanie o charakter lub charakterek Walca pozostaje zatem otwarte.

Zostawmy jednak cechy bohatera. Jak wspominałem, nie im poświęcona została książka. Zarazem nie jest ona też biografią pretekstową. Celem autora nie wydaje się pokazanie fragmentu dziejów kraju przez pryzmat losów postaci. Dzieje Polski są oczywiście obecne gdzieś w tle, ale Olaszek je raczej jedynie przypomina. Na pierwszy plan wybija się codzienność w funkcjonowaniu opozycji – postrzegana poprzez życie opozycjonisty. Najciekawsze są kontakty Walca, jego kręcenie się wśród ludzi, świadectwa jego funkcjonowania i działania. My, historycy, umiemy takie sprawy analizować lepiej niż myśl naszych bohaterów. Nieprzypadkowo SB podobno ceniła absolwentów z wykształceniem historycznym (sic!). Bardzo ciekawy jest opis Salonu Walendowskich, realia funkcjonowania Biura Interwencji KOR, fragmenty o życiu podziemnego drukarza, zarysowanie sporów i kłótni w opozycji demokratycznej, także, dajmy na to, stosunki Walca z jego kolegą, pedagogiem Krzysztofem Konarzewskim, stojącym po przeciwnej stronie politycznej. To bardzo ciekawy i ważny wątek, istotny dla zachowania proporcji w dzisiejszych przedstawieniach sytuacji. Mimo częstego dziś dyskursu o zdominowaniu narodu polskiego przez komunistów warto pamiętać, że za prawdziwej okupacji granica oddzielająca od wroga była wyraźniejsza i musiała taka być.

Przy okazji sygnalizowanych opisów Olaszek pokazuje też oczywiście kawał codziennego życia w Polsce, niezależnie od tego, czy było ono życiem opozycjonisty, czy bardziej przeciętnego człowieka. Widzimy zasięg władzy SB, która mogła nie tylko nie dopuścić do zatrudnienia kogoś, ale mogła też blokować publikowanie tekstów przez danego autora (a zdawało mi się, że takie zapisy rodziły się w odpowiednim wydziale KC!). Olaszek pokazuje, że nawet taki człowiek jak Walc mógł podpisać zobowiązanie do współpracy z SB, z czego zresztą później nic nie wynikało. Ciekawe jest przedstawienie młodych opozycjonistów, którzy nie mieli oparcia w rodzinach warszawskich. Warszawiacy byli w lepszej sytuacji – nawet ci, których rodzice byli komunistami (ci starzy komuniści, niezależnie od niepokoju o dziecko, nieraz sympatyzowali z nim, jakby wspominając własną buntowniczą młodość).

Instruktywne są Olaszka informacje o realiach przeżyć niedoświadczonych aresztowanych. Ciekawe są jego uwagi o życiu studenckim na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Trochę sam się w tym odnajduję, a trochę nie. Nie wiem, czy na historii, którą studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, było mniej tych wszystkich dyskusji na pograniczu problematyki zawodowej i wydarzeń przeżywanych niż na polonistyce – czy parę lat różnicy między studiami moimi i Walca tyle zmieniło. Różnice między instytutami oraz kierunkami są jak najbardziej prawdopodobne. Występowały też w sprawach innej natury. Na historii UW nie było takiego antagonizmu z IH PAN, jak na polonistyce z IBL-em.

Ciekawe są również wątki z życia codziennego, teoretycznie odległego od polityki – na przykład z życia szkoły, gdzie Walc uczył, czy z uniwersytetu. Także realia życia w stanie wojennym (żona Walca wioząca nielegalnie do Warszawy ofiarowaną jej połówkę świni – i to nie w kawałkach – pod spódnicą, udając ciężę, jak „baby” za okupacji pociągami na Dworzec Wileński, lecz samochodem przez rogatki!). Oczywiście w tamtym ustroju nic nie mogło być całkiem niezależne od polityki. Najgorzej dla człowieka było, gdy różne rzeczy się sprzysięgły przeciw niemu – z powodu jego działania bądź nawet bez



jego zasług. Jak zauważył Andrzej Celiński, mówiąc o Walcu: „Jak ktoś miał wilczy bilet i do tego był jeszcze ostry, to w ogóle miał przechłapanie” (s. 102).

\*

Niektóre ze spraw omówionych przez autora mogą wejść do dużo szerszych analiz. Codziennosc funkcjonowania opozycji dużo mówi o Polsce. Jakkolwiek by były przykre prześladowania i represje, nie świadczyły już o sile systemu. Jeżeli opozycjoniści mogli żyć tak intensywnie towarzysko, jeżeli mógł działać Prymasowski Komitet Pomocy na Pivnej, jeżeli członek KC spędzał noc na uczelni ze strajkującymi studentami (1968) i nadal egzystował, jeżeli ludzie podrzucali (choćby anonimowo) produkty żonie uwięzionego, jeżeli część literatów publikowała jednocześnie oficjalnie i w podziemiu, jeżeli mnóstwo ludzi było „za, a nawet przeciw”, jeżeli zawodowi drukarze przyłączali się do drukowania w podziemiu dla zarobku... to ten system musiał być już bliski klęski. Opisane życie codzienne internowanych w Jaworzu, niezależnie od łańdactwa samego uwięzienia tych ludzi, wskazuje, że system miał już starte zęby. Jednocześnie, ponieważ książka poświęcona jest opozycjoniście i opozycji, mniej dostrzega się w niej jakże ważną część społeczeństwa aktywnie uwikłaną w system (należałoby pewno przedyskutować, co ten termin znaczy, bowiem uwikłani byliśmy wszyscy choćby przez fakt brania pensji w państwowych instytucjach). Słabiej widzi się także przeogromną masę tych, którzy – co mogło się nakładać na poprzednią grupę – byli „za, a nawet przeciw”. Nie jest źle pamiętać, że w 1989 r. frekwencja w pierwszej turze wyborów wynosiła 62%, w drugiej zaś 25%. Tak, wiem, że przyczyny tego zjawiska mogły być bardzo różne, a interpretacja jest skomplikowana.

Inne sprawy mogłyby wejść do analiz dotyczących daleko nie tylko Polski jako występujące w wielu procesach dziejowych – choć autor nie idzie w tym kierunku (a szkoda!). Tak jest w wypadku roli inteligencji oraz intelektualistów w krajach mniej zmodernizowanych (zacołanych?). Także w wypadku opisanej buntowniczości studentów, w wypadku stwierdzanego kręcenia się wokół ruchów buntowniczych ludzi nieznajdujących dla siebie roli w legalnym społeczeństwie, a w tym ludzi z marginesu... W niejednym procesie przemiany występowała jedność zbuntowanych przeciw wspólnemu wrogowi oraz ich dzielenie się, gdy wroga już brakowało. Wszędzie wśród dawnych opozycjonistów po zwycięstwie pojawiało się wielu sfrustrowanych. Nieraz okazywało się, że ci, którzy nie narażali się, wychodzili lepiej, a liczba dystansujących się wobec dawnego reżimu nagle okazywała się tak duża, że aż trudno zrozumieć, jak on istniał. Z narażających się jedni zostawali ministrami, drudzy nosili za nimi teczki, a jeszcze inni, zapomniani, znaleźli się na bezrobociu. Niektórzy nie potrafili odnaleźć się w nowej rzeczywistości, gdzie niekoniecznie potrzeba było tych samych talentów i kwalifikacji (Walc, jak pokazuje autor, chyba nie odnalazł się). Ludzie wprawdzie bliscy, tym bliźsi, że łączyła ich sytuacja działalności podziemnej, nieraz rozstawali się, wręcz warczeli na siebie. Stawało pytanie o wybór dalszej drogi dla społeczności. Także pytanie o odniesienie się do zakończonej epoki, pytanie o jej rozliczenie, szerokość (wybiórczość) nowych sojuszy. Pojawiało się pytanie o ocenę własnego życia i dokonań.

W stosunku do intelektualistów czy twórców działających w wielu dziedzinach

wielokrotnie powstawało zagadnienie oceny dokonanych wyborów: czy właściwe było oddawanie się powołaniu wynikającemu z posiadanego zawodu, czy podjęcie działalności politycznej? Czasem jedno wybory zbiegały się z drugimi, czasem w którąś stronę pchały przypadki, czasem działał nakaz moralny. Tadeusz Kotarbiński, wychodząc z Warszawy po Powstaniu, wybrał wspomaganie w drodze osoby tego wymagającej zamiast wyniesienia własnych notatek. Nie zawsze sytuacje były jednak tak wyraźnie zdefiniowane. Czy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sytuacja była tak jasna, że dawała wyraźne podstawy dokonania wyboru? Co straciła – górnolotnie mówiąc – Polska na zmniejszeniu możliwości pracy wtedy i po 1989 r. wybitnego literaturoznawcy Jana Walca na jego zawodowym polu? Tak, wiem, takie postawienie sprawy rodzi pytanie, czy o lepszy świat winni walczyć tylko ludzie, którzy nie mają szans większych niż na zmiatanie ulicy. Chociaż jednak mogę być wdzięczny Walcowi drukarzowi jako czytelnik wielu podziemnych tekstów, to jednak żałuję, że nie napisał więcej tekstów zawodowych. Oczywiście, trudno wykluczyć, że Walc na swoim zaangażowaniu się w politykę zyskał też zawodowo. Za „pierwszej »Solidarności«” Andrzej Wajda przywiózł Gérarda Depardieu do Polski, by mu pokazać kraj w rewolucji – w perspektywie grania przezeń w filmie Danton. Niejeden historyk czy socjolog stał się mądrzejszy nie tylko dzięki lekturom, ale dzięki udziałowi w jakichś wydarzeniach. Nie mam wątpliwości, że Stefan Kieniewicz pamiętał o swoich doświadczeniach z rewolucji bolszewickiej (o czym nota bene napisał młodzieńczą opowieść), gdy badał rabację galicyjską. Z pewnością pamiętał też różne swoje i kolegów działania przeciw okupantom, gdy badał Powstanie Styczniowe. Gdy Karol Modzelewski opowiadał Aleksandrowi Gieysztorowi o atmosferze strajkowej w Stoczni Gdańskiej, ten zareagował, że to atmosfera początku Powstania Warszawskiego. Można się domyślać, że tkwił w tym element pesymistycznego proroctwa, które szczęśliwie nie sprawdziło się.

Ostatnie zdanie: jeżeli po przeczytaniu monograficznej książki przychodzą do głowy tak różne myśli, to znaczy, że autor odniósł sukces.

Korekta językowa: Beata Bińko

---

## [WIDEO: Polacy i Ukraińcy na Lubelszczyźnie w latach okupacji niemieckiej \(1939–1944\), a współczesny konflikt pamięci o tych wydarzeniach](#)

**Realizacja wideo:** Piotr Witek, współpraca: Ewa Solska

---



**Relacja wideo z debaty: *Polacy i Ukraińcy na Lubelszczyźnie w latach okupacji niemieckiej (1939–1944), a współczesny konflikt pamięci o tych wydarzeniach***

Tematem dyskusji były trudne relacje między społecznościami polską i ukraińską na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie (w tradycji ukraińskiej południowej Chełmszczyźnie) podczas okupacji niemieckiej. Uczestnicy dyskusji próbują odpowiedzieć na pytanie jakie okoliczności doprowadziły do szczególnie ostrego w latach 1943–1944 antagonizmu między Polakami i Ukraińcami na tym terenie oraz jakie były tego następstwa? Ponadto dlaczego obie społeczności w tak odmienny sposób interpretują i wyjaśniają owe tragiczne wydarzenia? I czy istnieje sposób mówienia o nich, który niwelowałby fatalne skutki tzw. polityki historycznej i wynikający z niej m.in. współczesny konflikt pamięci o wspólnej, lecz niełatwej przeszłości?

W dyskusji udział wzięli: prof. Igor Hałagida, dr Grzegorz Kuprianowicz i dr Mariusz Zajączkowski.

Debatę poprowadziła Bogumiła Berdychowska

Termin: 3 grudnia 2018 r., godz. 19.00

Miejsce: Sala Czarna, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, ul. Grodzka 21.

---

**Kilka refleksji na marginesie dyskusji**  
**„»Wychowanie ku niepodległości«.**  
**Publicystyka pisma »Spotkania«”**



MAŁGORZATA CHOMA-JUSIŃSKA

### **Kilka refleksji na marginesie dyskusji „»Wychowanie ku niepodległości«. Publicystyka pisma »Spotkania«”**

19 listopada 2018 r. w siedzibie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” odbyła się dyskusja współorganizowana przez Ośrodek i portal Ohistorie.eu, poświęcona publicystyce niezależnego pisma „Spotkania”. W panelu wzięli udział: o. Tomasz Dostatni OP, publicysta, duszpasterz, inicjator wielu debat poświęconych przeszłości i współczesności, Agata Fijuth-Dudek, politolog, zajmująca się m.in. publicystyką Leopolda Ungera na łamach „Kultury”, Marek Kunicki-Goldfinger, historyk, autor przygotowywanej do druku biografii Janusza Krupskiego, oraz Krzysztof Żórawski, wieloletni współpracownik „Spotkań”. Rozmowę moderowała Małgorzata Choma-Jusińska.

Przypomnijmy w zarysie dzieje tego drugoobiegowego periodyku. W 1977 r. w środowisku studentów i niedawnych absolwentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zrodził się pomysł wydawania nieocenzurowanego pisma. Pierwszy numer „Spotkań. Niezależnego Pisma Młodych Katolików” ukazał się w Lublinie w drugiej połowie listopada. Głównym redaktorem i twórcą pisma był Janusz Krupski. W różnych okresach z redakcją „Spotkań” byli związani m.in. Janusz Bazydło, Zdzisław Bradel, Adam Konderak, Krzysztof Paczuski, Jan Andrzej Stepek, Jan Krzysztof Wasilewski. W stopce figurowali również działacze Studenckiego Komitetu Solidarności z Krakowa: Józef Ruszar (ps. Józef Ciszkowski) i Wojciech Oracz. Wokół „Spotkań” skupionych było około 30 osób, zajmujących się pracami redakcyjnymi, drukowaniem i kolportażem pisma. Natomiast lista osób współpracujących z pismem czy biorących udział w dyskusjach, które określilibyśmy jako programowe, była znacznie dłuższa i obejmowała grono wykładowców KUL, środowisko „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” oraz warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej.

Oprócz czasopisma wydawano książki – w ramach „Biblioteki »Spotkań«”. Grupę łączyły więzy przyjacielskie, wzmacniane m.in. dzięki spotkaniom dyskusyjnym organizowanym w Lublinie w mieszkaniu Bożeny Iwaszkiewicz-Wronikowskiej. Środowisko „Spotkań” było również blisko związane z o. Ludwikiem Wiśniewskim OP, uczestnicząc w prowadzonym przez niego duszpasterstwie akademickim. W 1978 r. w Paryżu Piotr Jegliński, współinicjator działalności wydawniczej

lubelskiej grupy, założył wydawnictwo Editions „Spotkania”, które przedrukowywało czasopismo i wydawało serię książkową.

W sumie wydano 35 numerów pisma o objętości od 70 do około 300 stron. Część artykułów była przygotowana specjalnie dla lubelskiego pisma. Niektóre teksty powstały z myślą o druku w oficjalnej prasie, ale po tym jak cenzura zakwestionowała ich treść, autorzy zamieszczali je w „Spotkaniach”. Lubelski periodyk pozyskiwał również materiały dzięki kontaktom na Zachodzie, zwłaszcza pośrednictwu Jeglińskiego w polskich środowiskach emigracyjnych i diasporach z innych krajów komunistycznych. Kilkakrotnie dokonano także przedruków z czasopism ukazujących się na Zachodzie. Dominowały teksty autorów z kręgów katolickich. Większość numerów otwierały dokumenty Episkopatu Polski lub teksty okolicznościowych homilii. Publikowane materiały z reguły zamieszczano w ramach bloków tematycznych dotyczących m.in. sytuacji Kościoła w Polsce, perspektyw rozwoju kultury w systemach totalitarnych, formowania młodego pokolenia czy ważnych wydarzeń bieżących, takich jak wizyta Czesława Miłosza w Lublinie w 1981 r. Wielokrotnie drukowano wypowiedzi księży: Franciszka Blachnickiego, Stanisława Małkowskiego, Józefa Tischnera, Ignacego Tokarczuka, ponadto zaś Wojciecha Chudego, Tadeusza Chrzanowskiego, Stefana Kisielewskiego, Jerzego Narbutta. W „Spotkaniach” ukazało się też kilka wywiadów Ewy Berberysz z ważnymi postaciami życia intelektualnego.

Tytuł pisma stanowił swego rodzaju manifest postawy i deklarację ideową. „Spotkania” miały być przestrzenią dialogu, wymiany poglądów z ludźmi o innych zapatrywaniach. Patrząc na problemy Polski i świata oczami chrześcijan, twórcy pisma przykładali wielką wagę do refleksji nad samym Kościołem, postrzeganym i jako wspólnota wiernych, i instytucja. Ojciec Tomasz Dostatni zwrócił uwagę, że na łamach „Spotkań” rzucał się w oczy przede wszystkim obraz Kościoła posoborowego, kładącego nacisk na dialog z innymi wyznaniem. Jak podkreślił, szczególnym elementem tego obrazu było także ukazanie sytuacji katolicyzmu w Polsce w zestawieniu z położeniem Kościołów w innych krajach, zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej. W Polsce tamtego czasu zupełnie nieznane były: codzienność katolików w państwach komunistycznych, skala represyjności władz, strategie przetrwania stosowane przez wiernych i księży czy inicjatywy kręgów katolickich na rzecz przestrzegania praw człowieka, zwłaszcza wolności religii. „Spotkania” konsekwentnie przybliżały czytelnikom te zagadnienia, publikując wypowiedzi autorów dobrze znających opisywane realia, jak artykuł dominikanina o Aleksandra Hauke-Ligowskiego, który dzielił się wrażeniami z pobytu w Wilnie (*Przyjeżdżajcie do nas a nie po złoto*, nr 15), czy tekst czeskiego emigranta Aleksandra Tomsky'ego *Kościół w Czechosłowacji* (nr 19/20).

Nie sposób w skrócie ująć wielość głosów dotyczących Kościoła w Polsce, jego przeszłości, sytuacji bieżącej i wyzwania na przyszłość, zwłaszcza że w ciągu jedenastu lat ukazywania się „Spotkań” przechodził pewną ewolucję związaną z takimi wydarzeniami, jak wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża czy narodziny Solidarności i wprowadzenie stanu wojennego. W tym kontekście ważnym elementem obrazu Kościoła, jaki wyłania się ze „Spotkań”, było zaangażowanie wielu ludzi, duchownych i katolików świeckich, na rzecz stworzenia w Kościele przestrzeni dla różnych niezależnych inicjatyw

pomocowych i kulturalnych.

Marek Kunicki-Goldfinger zwrócił uwagę, że jednym z najważniejszych elementów przesłania „Spotkań” było dążenie do wcielania ideału *iunctim* między doskonaleniem życia indywidualnego a właściwymi postawami w życiu zbiorowym. Ważnym wzorem takiej postawy był ruch neofilarecki z początku XX w., opisany przez Janusza Krupskiego w numerze 8, łączący dążenie do rozwoju intelektualnego, doskonałości moralnej z walką o niepodległość. W „Spotkaniach” należy zatem widzieć nie tylko pismo czy wydawnictwo, lecz także ruch na rzecz wartości, jak stwierdził prelegent.

Na łamach „Spotkań” w różnych kontekstach eksponowano myśl, że człowiek ze swej istoty jest zakorzeniony w społeczeństwie, jego samorealizacja jest możliwa tylko we wspólnocie z inni ludźmi. Konsekwencją tego ujęcia było podkreślenie wzajemnej odpowiedzialności człowieka i społeczeństwa. Człowiek ma prawo do życia w społeczeństwie i państwie, w którym jest poszanowana jego godność. Zobowiązanie moralne polega zatem na odrzuceniu ustroju, państwa czy organizacji, które uderzają w osobę ludzką, oraz tworzeniu instytucji pożytecznych społecznie i czynnym zaangażowaniu w ich działalność. W tym wyrażała się polityczność człowieka, przy czym polityka w „Spotkaniach” była rozumiana jako troska o dobro wspólne („Tadeusz Dąbrowa”, właśc. Wojciech Chudy, *Człowiek polityczny*, „Spotkania” 1982, nr 19/20).

W wypadku grupy skupionej wokół „Spotkań” zaangażowanie społeczne przejawiało się w inicjatywach wychodzących naprzeciw tym, którzy potrzebowali w danej chwili wsparcia – byli to np. robotnicy represjonowani po Czerwcu 1976, pracownicy Spółdzielni Inwalidów Niewidomych w Lublinie, którym zabroniono służyć audycji religijnych, czy grekokatolicy w Polsce, których wolność wyznania naruszano w stopniu znacznie bardziej drastycznym niż katolików.

Środowisko „Spotkań” uformowane było w tradycji Rzeczypospolitej Jagiellońskiej. Wynikało to z konkretnej formacji uniwersyteckiej, zetknięcia z osobami urealniającymi tę tradycję, wybitnymi wykładowcami ukształtowanymi w atmosferze przedwojennego Wilna i Uniwersytetu Stefana Batorego, m.in. Ireną Sławińską i Czesławem Zgorzelskim. Prelegenci zgodnie jednak dostrzegli bardzo istotny wpływ Jerzego Kłoczowskiego. Redaktorzy i współpracownicy „Spotkań” (wśród których wielu było historykami lub historykami sztuki) z seminariów magisterskich i doktorskich u profesora Kłoczowskiego wynieśli spojrzenie na sprawy Polski w szerszym kontekście, na tle jej stosunków z sąsiednimi narodami i jej miejsca w Europie; spojrzenie łączące krytyczne myślenie o dziedzictwie historycznym z refleksją o współczesności.

Historia była stale obecna na kartach pisma. Krzysztof Żórawski zwrócił uwagę, że poza osobistymi zainteresowaniami redaktorów „Spotkań” istotne znaczenie miało poczucie ciągłości z doświadczeniami poprzednich pokoleń. Wspólna przeszłość i kultura dawały oparcie do budowania wspólnoty, przełamywania atomizacji społecznej. W realiach ograniczeń stawianych przez cenzurę „Spotkania” – jak zresztą cały niezależny ruch wydawniczy – miały także ogromne zasługi dla poszerzenia możliwości poznania zwłaszcza dziejów XX w. Zestaw tematów najczęściej poruszanych na łamach pisma nie budzi zaskoczenia, pokrywa się z rozkładem tzw. białych plam w powojennej historiografii. Były to zatem zagadnienia dotyczące II wojny światowej i

historii Polski po wojnie, dziejów Kościoła, tematyki kresowej i łagrowej, biografie polityków i działaczy społecznych zepchniętych w okresie PRL w niepamięć. Ważnym osiągnięciem było wydanie w sumie ośmiuset stron dokumentów i relacji dotyczących rewolty na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Był to unikatowy, bogaty materiał zgromadzony przez sekcje historyczne zarządów regionów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku i Szczecinie w dziesięciolecie wydarzeń („Spotkania” 1983, nr 23–25). Materiały dotyczące tematyki historycznej publikowane w czasopiśmie uzupełniały tytuły „Biblioteki »Spotkań«”, m.in. *Wspomnienia z Kazachstanu* ks. Władysława Bukowińskiego (1979), duszpasterza zesłańców; *Józef Grzesiak Czarny* Aleksandra Kamińskiego i Andrzeja Wasilewskiego (1980), biografia harcerza, żołnierza AK, więźnia stalinowskiego; *Zapluty karzeł reakcji* – poczytne wspomnienia Piotra Woźniaka, żołnierza AK, a po wojnie komendanta rzeszowskiego Okręgu Narodowego Związku Wojskowego, więźnia politycznego.

Wiele miejsca „Spotkania” poświęciły wejrzeniu we wspólną przeszłość Polaków i sąsiednich narodów. Na łamach czasopisma wielokrotnie podkreślano współzależność losów Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Zbudowanie pozytywnych relacji z sąsiadami, zwłaszcza Ukraińcami, uznawano wręcz za narodową rację stanu. Było to myślenie bliskie stanowisku „Kultury”, ukształtowane pod wpływem także – choć nie jedynie – paryskiego periodyku. Zresztą, jak zauważyła Agata Fijuth-Dudek, oddziaływanie „Kultury” można również dostrzec w myśleniu o miejscu Polski w Europie. „Spotkania” akcentowały bowiem dążenie do odbudowania w społeczeństwie poczucia przynależności Polski do wspólnoty europejskiej. Marek Kunicki-Goldfinger podkreślił, że było to jedno z pierwszych pism niezależnych w kraju, które od lat 70. konsekwentnie starało się postrzegać sprawę Polski w szerokim kontekście kultury, tradycji, przeobrażeń społecznych i politycznych w Europie. O tym, jak istotna była ta kwestia dla „Spotkań”, świadczy fakt, że akurat ten element programu środowiska został uwydatniony w treści oświadczenia wydanego zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Podkreślono wówczas znaczenie budowania świadomości miejsca Polaków „w Wolnym Świecie, w zjednoczonej, chrześcijańskiej Europie” (*Oświadczenie przedstawicieli ruchu u redakcji „Niezależnego Pisma Młodych Karolików. Spotkania”* 1981/1982, nr 17/18). Również w tej sprawie nie poprzestano na deklaracjach, środowisko nawiązało bowiem bezpośrednie kontakty z przedstawicielami liberalnych i chadeckich organizacji młodzieżowych na Zachodzie.

Autorzy „Spotkań” sięgali po różne formy publicystyczne, od homilii po obszernie artykuły przekrojowe, dotyczące np. dziejów stosunków polsko-ukraińskich czy polsko-żydowskich. Jednak – jak zwrócili uwagę prelegenci – szczególny wgląd w prezentowane tematy stał się możliwy dzięki mikrohistoriom. Opowieści o losach poszczególnych osób czy niewielkich społeczności pozwalały na zderzenie przeżyć Polaków i mieszkańców innych państw komunistycznych; unaoczniały głębię doświadczeń jednostkowych, miały rangę świadectw.

Ten przegląd zagadnień poruszanych w czasie spotkania nie wyczerpuje wszystkich tematów podjętych przez prelegentów. Tym bardziej nie w pełni oddaje różnorodność treści zamieszczanych w lubelskim periodyku. Należy mieć nadzieję, że będzie skuteczną zachętą do bliższego zapoznania się z

intelektualnym dorobkiem tego środowiska, które oddziaływało na inteligencję katolicką w latach 70. i 80. XX w. Wiele zagadnień poruszanych na łamach „Spotkań” nie straciło aktualności. Zamieszczane tam opinie należy uznać za inspirujące również dla dzisiejszych czytelników.

Korekta językowa: Beata Bińko

## Grecy i Macedończycy w PRL



Pochód greckich uchodźców „w obronie pokoju” w Jednostce Wojskowej nr 1904 w Dziwnowie.  
[Archiwum IPN (teczka Zarządu II Sz. G. WP) lata 1949-1950.]

**MAGDALENA SEMCZYSZYN**

### **Grecy i Macedończycy w PRL**

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku do Polski trafiło blisko 14 tys. osób z wyniszczoną wojną domową Grecji. W wyniku porażki greckich komunistów w walce z monarchią Jerzego II, wspieranego przez Wielką Brytanię i USA, kraj musieli opuścić żołnierze Demokratycznej Armii Grecji (DAG) – formacji walczącej pod egidą Komunistycznej Partii Grecji (KPG) oraz cywile z kontrolowanej do 1948 r. przez lewicę północnej części kraju.

Polska nie była wyjątkiem. Jeszcze podczas wojny uchodźcy znaleźli azyl polityczny w państwach strefy wpływów ZSRR. Jako pierwsze ewakuacji podlegały dzieci (ogółem około 17 tys.). Od 1948 r. wywożono ludność cywilną na tereny sąsiadujących z Grecją Jugosławii i Albanii. Rok później górzystymi szlakami prowadzącymi do granic „bratnich państw” uciekali partyzanci DAG. Po zakończeniu działań wojennych w Grecji rozpoczęły się krwawe represje wobec zwolenników lewicy. Do więzień trafiło przeszło 50 tys. osób, wykonano



egzekucje na około 1200 członkach KPG. Ewakuacja okazała się dla wielu osób jedynym ratunkiem. Do państw bloku wschodniego udało się ogółem 56 tys. greckich i macedońskich uchodźców.

Akcja pomocy dla komunistycznej Grecji była największą tego typu operacją przeprowadzoną w PRL. Rozpoczęło ją przyjęcie w 1948 r. około 4000 dzieci, przywiezionych pociągami z obozów dla uchodźców w Rumunii. Wśród nich były sieroty oraz dzieci, których rodzice pozostali w Grecji lub znaleźli się w obozach dla uchodźców w krajach bałkańskich. Dzieci trafiły do ośrodków wychowawczych w Międzygórzu, Łądku-Zdroju i Szczawnie-Zdroju. Następnie, w latach 1949-1950 pod polską i rumuńską banderą przywieziono do Polski kilka tysięcy dorosłych. Z portu Durrës w Albanii przez Morze Śródziemne, Gibraltar, kanał La Manche, Cieśniny Duńskie dotarli oni do portów w Gdańsku, Kołobrzegu i Świnoujściu. Całość operacji była tajna i koordynował ją II Oddział Sztabu Generalnego WP. Osoby zdrowe i w podeszłym wieku przewieziono pociągami do Dusznik-Zdroju, Zgorzelca i Międzygórza. Ranni trafili do Chirurgicznego Szpitala Polowego nr 250, utworzonego specjalnie w tym celu w ponemieckiej bazie hydroplanów w Dziwnowie. Na leczeniu w tej specjalnej placówce przebywało około 2000 rannych partyzantów. Wielu wymagało specjalistycznej opieki i wieloetapowych operacji, najczęściej amputacji kończyn.

Na terenie jednostki w Dziwnowie powstała także szkoła oficerska dla kilkuset żołnierzy DAG. Druga jednostka „grecka” istniała do 1950 r. w koszarach w Wędrzynie (pow. Sulęcín, na ziemi lubuskiej). W Komorowie koło Warszawy szkolono dywersantów i dowódców oddziałów partyzanckich. Zarówno działacze KPG na emigracji, jak również polskie dowództwo wojskowe początkowo utwierdzały przybyłych w przekonaniu, że niebawem powrócą do ojczyzny, by z bronią w rękę kontynuować walkę z „faszystowskim rządem”. Nadzieje na „odbicie” Grecji z rąk „imperialistycznego” Zachodu rozwiały się jednak szybko. Wkrótce ozdrowieńcy ze szpitala polowego nr 250 dołączyli do reszty uchodźców, osiedlonych na Dolnym Śląsku, Pomorzu Zachodnim, Ziemi Lubuskiej i w wyludnionych Bieszczadach.

### **Greckie osiedla**

W przeważającej większości greckich emigrantów politycznych osiedlono na Ziemiach Zachodnich. Ponieważ rząd grecki pozbawił ich obywatelstwa, w PRL uzyskali oni status bezpaństwowców (apatrydów) i azyl polityczny (na mocy art. 75 konstytucji PRL z 22 lipca 1952 r.). Wśród osób dorosłych prawie 30% stanowiła ludność cywilna. Odsetek kobiet wynosił 37% – wiele z nich walczyło w szeregach DAG. Chociaż utarło się przekonanie, że uchodźcy byli Grekami, to w rzeczywistości skład etniczny przybyłych był zróżnicowany. 55% przybyłych stanowili Grecy, 45% Macedończycy, a resztę prawosławni Kucowołosi, posługujący się dialektem albańskim Arwanici i muzułmańscy Pomacy. W przeszło 90% była to ludność pochodząca z wiejskich terenów Grecji.



Młodzież grecka ze Zjednoczonej Panhelleńskiej Organizacji Młodzieży EPON związanej z Greckim Frontem Wyzwolenia Narodowego EAM, Dziwnów. [Archiwum IPN (teczka Zarządu II Sz.G. WP) lata 1949-1950.]

Do 1955 r., w wyniku akcji łączenia rodzin organizowanej przez PCK, liczba greckich imigrantów zwiększyła się w Polsce do 15 tys. Pod nadzorem MSW przybysze zostali rozlokowani w kilkudziesięciu ośrodkach na Ziemiach Zachodnich. Przeważającą większość zakwaterowano w miastach na terenie Dolnego Śląska. Niekwestionowaną grecką stolicą stał się Zgorzelec, skupiający 18% ogółu apatrydów (2258 osób w 1958 r.). W mieście istniały instytucje związane z uchodźcami: dom starców, dom dziecka i Spółdzielnia Inwalidów „Delta”. Kilka tysięcy osób zamieszkało we Wrocławiu, Legnicy, Świdnicy i Wałbrzychu, kolejnych kilkaset skierowano do Szczecina, Gdyni, Gdańska i Poznania. Ponad 1100 greckich rolników osiedlono w 37 wsiach na Ziemi Lubuskiej. W latach 1951-1953 ponad 2200 Greków i Macedończyków z Dolnego Śląska skierowano w Bieszczady, gdzie zamieszkali w opuszczonych wsiach w rejonie Ustrzyk Dolnych. W Krościenku (miejscowości w całości zamieszkałej przez społeczność z Grecji) powołano spółdzielnię rolniczą „Neo Zoi” („Nowe Życie”).

W 1951 r. ponad 2500 greckich dzieci z Dolnego Śląska przeniesiono do Państwowego Ośrodka Wychowawczego (POW) w Policach pod Szczecinem. Specjalnie dla nich zagospodarowano zrujnowany kompleks poniemieckiej fabryki paliwa syntetycznego, o powierzchni 130 ha. Osiedlono tam również około 300 dorosłych. Wkrótce Police ochrzczono „małą Helladą”, ponieważ Grecy i Macedończycy stanowili niemal połowę populacji miasteczka. Ośrodki dla młodych uchodźców istniały także m.in. w Szczecinie, Zgorzelcu i Płakowicach na Dolnym Śląsku.

Do 1956 r. greccy osadnicy nie mieli prawa samowolnej zmiany miejsca zamieszkania. Gdy zakaz anulowano, wiele rodzin zaczęło swoje prywatne odyseje, szukając odpowiedniego miejsca do życia. Część Macedończyków wyjechała do Bułgarii i Jugosławii, zaczęły się także, jeszcze ograniczone, bo dotyczące tylko osób niezwiązanych z DAG, powroty do ojczyzny. Większość

greckich uchodźców szybko opuściła Bieszczady i Ziemię Lubuską. W Polsce preferowano duże ośrodki miejskie, w których łatwiej było o niwelowanie różnic kulturowych i językowych. Najtrwalsze skupiska greckie przetrwały w miastach Dolnego Śląska, w Szczecinie, Trójmieście i Poznaniu.

### **Nowy dom i tęsknota za ojczyzną**

Do połowy lat pięćdziesiątych władze PRL przeznaczyły na prowadzenie domów dziecka, szkół, kolonii, kursów i infrastrukturę dla przybyszów z Grecji 272 miliony złotych. Władze kładły szczególny nacisk na zapewnienie im stałego zajęcia. Wśród osób dorosłych prowadzono kursy zawodowe, połączone z nauką języka polskiego. W 1951 r. około 3500 kursantów skierowano do pracy w państwowych gospodarstwach rolnych Dolnego Śląska, kolejne kilkaset osób znalazło zatrudnienie we wrocławskim „Pafawagu”, wałbrzyskich kopalniach, w jeleniogórskiej „Celwiskozie”, Spółdzielni Inwalidów „Delta” w Zgorzelcu, Stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie i w tamtejszym Zarządzie Portu. W późniejszych latach młodzi Grecy chętnie podejmowali pracę w marynarce handlowej. Szacuje się, że do 1975 r. około 2300 apatrydów zdobyło w Polsce średnie i wyższe wykształcenie. Wśród pokolenia greckich przybyszów dorastających w PRL pojawiło się wielu znanych artystów, którzy w swojej twórczości nawiązywali do greckich motywów, m.in. piosenkarka Eleni Tzokas, tenor Paulos Raptis, muzyk Nikos Ruskietos, malarz Telemach Pilitsidis czy poeta Nikos Chadzinikolau.

Życie społeczno-kulturalne Greków i Macedończyków w Polsce koncentrowało się wokół powstałego w 1953 r. Związku Uchodźców Politycznych z Grecji im. Nikosa Belojannisa. Organizacja posiadała 40 oddziałów regionalnych i wydawała własną gazetę, „Dimokratis”. Chociaż Związek był silnie zideologizowany, to jednak stanowił azyl jednoczący społeczność uchodźców. Integracji służyły także coroczne festiwale muzyczne i spotkania, organizowane m.in. w Zgorzelcu. Byli partyzanci skupili się w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Propaganda PRL utrwaliła mit, że wszyscy greccy emigranci byli zatwardziałymi komunistami. Nie jest to jednak prawdziwy obraz. Wielu byłych żołnierzy DAG nie należało do KPG (w 1950 r. w Polsce na 15 tys. uchodźców legitymację KPG posiadało 2900 osób). Z kolei wśród samych greckich komunistów istniało sporo różnic ideologicznych, które powodowały występowanie wielu rewizjonistycznych i antymoskiewskich frakcji. Był to jeden z powodów, dla których uchodźcami interesowała się Służba Bezpieczeństwa PRL. Większość z nich trzymała się jednak z dala od polityki, próbując znaleźć ukojenie po doświadczeniach wieloletniej, wojennej traumy i ułożyć sobie życie w nowej ojczyźnie. Jednocześnie wielu uchodźców nigdy nie porzuciło marzeń o powrocie do swojej ojczyzny.

Powrót do Grecji osób walczących w komunistycznej partyzantce był możliwy dopiero w wyniku przemian, które nastąpiły w tym kraju po zakończeniu rządów junty „czarnych pułkowników” (1967-1975). W 1982 r. rząd w Atenach wydał dekret zezwalający na reemigrację, czyniąc jednak zastrzeżenie odnośnie do Macedończyków. Warunkiem przywrócenia obywatelstwa w ich przypadku była zmiana słowiańskich imion i nazwisk na greckie. Z możliwości powrotu skorzystało wówczas około 6 tys. uchodźców.

Obecnie szacuje się, że w Polsce mieszka około 3600 osób narodowości greckiej

(większość na Dolnym Śląsku) i około 300 Macedończyków – w większości potomków apatrydów z lat 1949-1950.

Korekta językowa: Beata Bińko

## Kilka uwag po obchodach stulecia niepodległości



RAFAŁ STOBIECKI

### **Kilka uwag po obchodach stulecia niepodległości**

*Obowiązkiem historyka, w ogóle każdego obywatela jest mówić o tym,  
o czym mówić nie wypada.*

(Karol Modzelewski)

Jako historyk i jako obywatel z uwagą obserwowałem zakończone niedawno obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Mówiąc najbardziej eufemistycznie, nie nastrajają one optymistycznie. Mizéria obchodów państwowych, ograniczonych do uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza, słynnego marszu, a w zasadzie dwóch odrębnych manifestacji, w których przedstawiciele władz w wyniku zawartego w ostatniej chwili „kompromisu” maszerowali razem ze środowiskami narodowymi, oraz wspólnego śpiewania Mazurka Dąbrowskiego, aż „kłuła w oczy”. Było mi smutno i wstyd. Jak trafnie zauważył jeden z młodych publicystów, nawet nieudolna i dziś w większości słusznie wyszydzana Polska Rzeczpospolita Ludowa potrafiła na tysiącletnie państwa polskiego zbudować tysiąc szkół, a III RP może zaoferować najwyżej brak zamieszek na kilkudziesięciotysięcznym marszu narodowców. Ktoś inny napisał, że z okazji stulecia odzyskania niepodległości postanowiliśmy zorganizować wielki pokaz cech narodowych, przez które tę niepodległość straciliśmy.

Jedną z nielicznych imprez, które wymykały się tradycyjnej i nudnej formule obchodów, okazały się Łódzkie Igrzyska Wolności, zorganizowane pod hasłem Bitwa o historię przez środowisko związane z pismem i fundacją „Liberte!”, którym od lat szefują Błażej Lenkowski i Leszek Jażdżewski. Zgromadziły one wiele indywidualności ze świata kultury, nauki i polityki (kolejność nieprzypadkowa) oraz kilkutysięczną publiczność. W trakcie wykładów, spotkań autorskich i paneli czuć było atmosferę krytycznego namysłu nad fenomenem niepodległości, zaproponowano włączenie w dyskurs rocznicowy nowych tematów (dzieje kobiet czy historia LGBT). Dyskutowano o edukacji szkolnej w dziedzinie historii, stosunkach polsko-żydowskich i polsko-ukraińskich, polityce historycznej, współczesnych obliczach patriotyzmu. I choć do mediów przebiły się przede wszystkim wystąpienia celebrytów politycznych (Donald Tusk, Robert Biedroń) i części reprezentantów świata filmu (Agnieszka Holland), to pozostało wspomnienie czegoś ważnego, oryginalnego i inspirującego.

Jakie treści historyczne niosły ze sobą oficjalne, państwowe uroczystości związane z 11 Listopada, w dużym stopniu powielane w mediach, różnych zresztą orientacji? Ryzykując pewne uproszczenie, można powiedzieć, że wiązały się one z trzema korespondującymi ze sobą przekazami.

Po pierwsze, niepodległość zawdzięczamy Józefowi Piłsudskiemu. W tym sensie nie miała racji wspomniana Agnieszka Holland, gdy oznajmiła w Łodzi, że „Piłsudski został wyrugowany przez Lecha Kaczyńskiego, musiał się posunąć w krypcie, a teraz na placu swojego imienia”. Figura Piłsudskiego jako ojca i matki niepodległego państwa zdominowała przekazy medialne zarówno te tradycyjne, jak i te związane ze światem mediów elektronicznych. W jakimś sensie potwierdza to krążącą anegdotę o tym, czym jest PiS – „grupą rekonstrukcyjną sanacji z Żoliborza”. Zauważalne było to, że w cień zostali usunięci inni bohaterowie niepodległości – Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wojciech Korfanty czy Ignacy Daszyński. Co prawda przywódcy socjalistów po

wielu latach poświęcono odsłonięty w Warszawie pomnik, ale nie zmienia to faktu, że ma on wyjątkowego pecha dziejowego. Najpierw krytykowany przez samego Piłsudskiego, potem wyrugowany z oficjalnej pamięci i historiografii przez prawie cały okres PRL, na krótko „zrehabilitowany” w latach 80. ubiegłego wieku, dziś wrócił jako patron głównie postkomunistycznej lewicy. Owo związanie rocznicy niepodległości z postacią Marszałka, a jednocześnie z podpisaniem zawieszenia broni na Zachodzie skutkowało także tym, że zupełnie pominięto inne daty symbolizujące początki II Rzeczypospolitej: 7 listopada – powstanie rządu ludowego, 14 listopada – powierzenie Piłsudskiemu funkcji tymczasowego naczelnika państwa, czy 27 grudnia – wybuch powstania wielkopolskiego. Na przykład rocznica powstania rządu lubelskiego została przedstawiona jedynie w jednym z dzienników TVN, całkowicie zaś przemilczały ją inne telewizje, w tym TVP. Gdzieś wyparowały tak żywe jeszcze w II Rzeczypospolitej spory o zasługi dla niepodległości (jak wiemy, data 11 listopada stała się świętem państwowym dopiero w 1937 r. i decyzja ta była mocno krytykowana przez środowiska związane z Narodową Demokracją).

Nową wartością, którą warto odnotować, było natomiast zauważenie po raz pierwszy na taką skalę wkładu kobiet w dzieło odzyskania niepodległości. Periodyki różnych orientacji politycznych, portale internetowe, liczne wydawnictwa przypominały bohaterki akcji pod Bezdanami – Aleksandrę Szczerbińską, Zofię Prystorową, czy postaci pierwszych posłanek do Sejmu Ustawodawczego, m.in. Gabrielę Balicką, Zofię Moraczewską czy Irenę Kosmowską.

Po drugie, dominujący przekaz zupełnie zamazywał to, co łączy się z procesualnym wymiarem historii. Można było odnieść wrażenie, że niepodległość wybuchła nagle w listopadzie 1918 r. i była zasługą przede wszystkim Polaków. Jej odzyskanie prezentowano jako rodzaj „cudu”, który nastąpił nie wiadomo dlaczego. W rocznicowej wersji historii zabrakło miejsca, by pokazać rolę takiego, a nie innego przebiegu I wojny światowej, znaczenie jednoczesnej klęski trzech zaborców czy rewolucji w Rosji.

Heroiczna z ducha wizja przeszłości zmarginalizowała jej zbiorowy wymiar. Niepodległość okazała się rezultatem przede wszystkim wydarzeń politycznych i walki, głównie Legionów, w daleko mniejszym stopniu armii Józefa Hallera czy jednostek wojskowych tworzonych w Rosji. Nie udało się pokazać ani różnych dróg prowadzących do odrodzenia państwa, ani jej aspektów społecznych, kulturowych czy gospodarczych.

Po trzecie, forsowany przez władze i media obraz wydarzeń miał wybitnie polonocentryczny charakter. Można było wysnuć wniosek, że nikt poza Polakami nie cieszył się w 1918 r. z odzyskania niepodległego państwa. Zapomnieliśmy o Litwinach, Łotyszach i Estończykach, nie chcieliśmy pamiętać o powstaniu niepodległej Czechosłowacji, Jugosławii czy Finlandii. A to przecież w większości nasi sąsiedzi, byli i obecni. Niewiele pisało się o ujawniających się pod koniec wojny, częściowo zrealizowanych, niepodległościowych dążeniach Ukraińców i Białorusinów (w gronie periodyków społeczno-kulturalnych chlubnym wyjątkiem był „Tygodnik Powszechny”).

Utrwaliło się przekonanie, że Polska jest (była?) jakąś wyspą w Europie Środkowo-Wschodniej, izolowaną od reszty, dla której historia stworzyła

specjalne prawa, mające legitymizować jej wyjątkowość. W taką polonocentryczną wizję historii wpisał się także Instytut Pamięci Narodowej. W ramach ogłoszonego konkursu „Sto książek na stulecie niepodległości” jego władze postanowiły wznowić tylko jedną pracę, o jakże charakterystycznej wymowie. Jest nią Duch dziejów Polski (pierwsze wydanie 1917) Antoniego Chołoniewskiego. Abstrahując od znamienego faktu, że tym samym władze Instytutu uznały, iż żadna inna praca polskiego historyka wydana po 1918 r. nie zasługuje na taki zaszczyt, należy zwrócić uwagę co innego. Trudno nie odnieść wrażenia, że przeniknięte duchem megalomanii narodowej (do dziś używamy przecież terminu „chołoniewszczyzna” jako synonimu bezkrytycznego podejścia do narodowej przeszłości), poczucia szczególnej misji narodu polskiego i jego uniwersalnych przymiotów, pełne nieuprawnionej apologii polskiej wolności, dzieło to dobrze koresponduje z forsowaną przez obóz „dobrej zmiany” polityką historyczną. Polityką odrzucającą „pedagogikę wstydu”, krzewiącą z uporem godnym lepszej sprawy jedynie poczucie dumy z narodowej przeszłości, widzącej w Polsce wzór dla innych narodów europejskich. Pisząc swoją książeczkę w 1917 r., Chołoniewski był pełen dobrych intencji, w dużym stopniu tłumacząc go okoliczności powstania pracy i chęć zakwestionowania, szkodliwych jego zdaniem dla polskich aspiracji niepodległościowych, też tzw. krakowskiej szkoły historycznej (Walerian Kalinka, Józef Szujski, Michał Bobrzyński). Ale dziś? Komu i czemu ma służyć ta z gruntu anachroniczna historiozofia? Chyba tylko utrwalaniu przekonania, jacy to byliśmy na przestrzeni dziejów wspaniali, tolerancyjni i wyjątkowi. To wizja patriotyzmu nie tylko rodem z czytanek dla dzieci i młodzieży, lecz także głęboko naiwna i społecznie szkodliwa.

Zacząłem ten tekst cytatem z wypowiedzi nestora polskich historyków – Karola Modzelewskiego. Jego słowami chciałbym także zakończyć: „wstyd jest objawem uczuć patriotycznych. Jeśli uwiera mnie coś, co uczynili Polacy, to znaczy, że łączy mnie z nimi więź. Gdyby oni nie byli moi, to ja bym może ich zachowaniem gardził, może bym potępiał, ale bym się nie wstydził. Za rodaków wstydzi się tylko patriota” \*.

#### **Przypisy:**

\* *To nie jest kwestia hematologii. Z profesorem Karolem Modzelewskim rozmawia Kalina Błazejowska, „Pismo” 2018, nr 11.*

Korekta językowa: Beata Bińko

---

**Siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę**



ANNA MACHCEWICZ

### **Siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę\***

11 sierpnia 1951 r. prasa donosiła: „tysiące młodych bojowników o pokój napływają bez przerwy do Berlina, „ludy świata przyjęły z gorącym uznaniem propozycje radzieckie w prawie pokoju”. W „Głosie Wybrzeża” szczególnie bije w oczy tytuł: „Bagno moralne zdrajców ojczyzny – o procesie Tataru, Utnika, Nowickiego, Mossora i innych przed Sądem w Warszawie” („Głos Wybrzeża”, 11 VIII 1951). W gdańskich kinach grali: *Wesołe kumoszki z Windsoru*, *Złoto jeziora*, *Rodzinę Sonnenbrucków*, *Było to w maju*, *Wesołe zawody*.

To była sobota, 11 sierpnia. Mimo upływu 60 lat Stefania Hewelt wyraźnie zapamiętała szczegóły. „Późnym wieczorem do drzwi zastukało dwóch młodych i całkiem elegancko ubranych panów. Gdy o mnie zapytali, ciocia, u której mieszkałam, bardzo gościnna osoba, w pierwszej chwili poczęstowała ich pierożkami i piwem, bo pomyślała, że to jacyś moi znajomi. Zjedli, wypili i podali mi pismo do pokwitowania. Patrzą, a tu Urząd Bezpieczeństwa – nakaz aresztowania” (Relacja Stefanii Hewelt z d. Cesarz). Zaczęła się rewizja. W ciszy przetrząsnęli wszystkie osobiste rzeczy domowników i w jednej z szuflad znaleźli całą teczkę dokumentów. Ucieszyli się, bo myśleli, że to coś ważnego, a to były rachunki, które zbierała jako skarbniczka w ZMP. Oprócz papierów było tam jeszcze trochę pieniędzy ze składek. Potem cała suma znalazła się w jej więziennym depozycie. Gdy skończyli, zapadł już zmierzch, wyszli na opustoszałą ulicę, gdyż rodzice na wszelki wypadek zawołali zwykle biegające do późna dzieci i zamknęli się na cztery spusty w domach. Ponieważ był środek lata, Stefania narzuciła na siebie żakiecik, nawet nie włożyła pończoch, sądziła bowiem, że zaraz wróci do domu. Na sąsiedniej ul. Legionów stał czarny samochód. Wsiedli i pojechali na ul. Okopową, gdzie mieściła się siedziba gdańskiego UB.

Stefania Cesarz przyjechała do Trójmiasta spod Krosna w 1948 r., zaraz po maturze, namówiona przez stryja, który tuż po wojnie osiedlił się z rodziną na Wybrzeżu. Morze przyciągało ludzi, jej starszy brat Władysław przybył tam nieco wcześniej, ukończył kurs w szkole morskiej i w pierwszy rejs, jako chłopiec okrętowy, popłynął „Batorym” do Nowego Jorku. Potem statkiem „Waryński” odbył rejs do Ameryki Południowej, pływał do portów europejskich.



Wracał za każdym razem, choć nie brakowało okazji, by pozostać w wolnym świecie. Stefania pamięta, że już podczas pierwszego rejsu kilku marynarzy pozostało w Nowym Jorku. Po tym powrotnym rejsie brat na skutek ciężkiej pracy fizycznej w zmniejszonym składzie długo leczył nadwyrężone zdrowie. Pod koniec 1950 r. jako żołnierz z poboru trafił do jednostki Marynarki Wojennej w Kołobrzegu. Przez kilka miesięcy ich kontakty ograniczały się do sporadycznych listów, spotkać się mieli w sierpniu, podczas pobytu w Gdyni.

Tak wspomina tamte lata:

*Gdy brat był w domu, razem chodziliśmy na tańce, do restauracji. Trójmiasto było wesołe. Byłam młoda, cieszyłam się życiem, chodziłyśmy z koleżankami do kina, ciągle jeździłyśmy a to do Gdyni, a to do Sopotu. Owszem pracy było dużo, czasami wracało się z niej późnym wieczorem, a potem z humorem wracało do domu. Nic mnie nie obchodziła ta cała ideologia komunistyczna. Mój ojciec był socjalistą, ale do PZPR już się nie zapisał. Chodziło się na te zebrania ZMP, wszystkich nas tam zapisywali, wysłuchiwało tych głupot, ale nic mnie to nie obchodziło. Jakoś człowiek się z tym godził. O więzieniach nic nie wiedziałam, kto tam siedzi i za co. A tu nagle zaprowadzono mnie do celi. Do tej pory poznaję to okno – na trzecim piętrze. Siedziałam tam całkiem sama i nie wiedziałam za co. (Relacja Stefanii Hewelt)*

Podczas rewizji udało się jej ocalić jedynie mały metalowy grzebyk. Nie pozwoliła go sobie odebrać, tłumacząc, że jakoś musi dbać o fryzurę. Argument, o dziwo, podziałał. Przez kolejne miesiące grzebień był jedyną osobistą rzeczą, jaką posiadała. Nie otrzymywała żadnych listów ani paczek, nie przyznawano jej widzeń, ponieważ nikt z bliskich nie wiedział, gdzie przebywa. Z pieniędzy ZMP, które powędrowały do więziennego depozytu, kupowała sobie w więziennej kantine cebulę i ceres.

Nie miała rzecz jasna pojęcia, że tego samego dnia do aresztów w całej Polsce trafiło jeszcze piętnaście innych osób, członków ośmiu rodzin, które nie spotkały się nigdy wcześniej. Nie byłoby to niczym zdumiewającym, gdyż w latach stalinowskich w wielu procesach toczących się pod sfigowanymi zarzutami łączono przypadkowych, nieznaną sobie dotąd ludzi. W tej sprawie niezwykle było to, że ponieśli oni odpowiedzialność za czyny swoich synów i braci, których władza nie mogła osiągnąć i ukarać. Wspólny los był dziełem przypadku – dziesięć dni wcześniej grupa jedenastu marynarzy poprosiła o azyl polityczny w szwedzkim porcie Ystad. Decyzja o aresztowaniach zapadła na wniosek MBP, ponieważ „zachodziło podejrzenie, iż rodziny najbliższe były o powyższym poinformowane listownie bądź w czasie urlopów poszczególnych marynarzy (AAN, sygn. 230, k. 10).

Marynarze byli członkami załogi okrętu polskiej Marynarki Wojennej „Żuraw”, który wyruszył z portu w Kołobrzegu 1 sierpnia 1951 r. i miał popłynąć do Gdyni. Dowodził nim ppor. Arkadiusz Ignatowicz, w służbie od 1925 r. Na pokładzie znajdował się też szef Wydziału Pomiarów Szefostwa Hydrografii kmdr por. Jerzy Iwanow, doświadczony hydrograf, także należący do przedwojennego pokolenia. W rejs wypłynął jeszcze jeden oficer, do spraw politycznych, zaledwie 25-letni absolwent Szkoły Morskiej Zygmunt Bogumił, zaokrętowany 1 sierpnia. Dramat, którego aktorami stało się wielu ludzi, zaczął się na

wysokości latarni morskiej Gąski. Kilku zbuntowanych marynarzy zamknęło pod strażą oficerów i podoficerów i zmieniło kurs statku na północny, kierując go w stronę Szwecji. Następnego dnia o świcie „Żuraw” zawinął do Ystad. Część marynarzy poprosiła o azyl. Ostatecznie na ląd zeszło jedenastu spośród 30-osobowej załogi. Okręt powrócił do portu w Oksywiu 3 sierpnia 1951 r. Po kilku dniach aresztowano trzech oficerów i dziewięciu podoficerów oraz marynarzy. Wszystkich poddano brutalnym przesłuchaniom w areszcie Informacji Wojskowej, które trwały do 15 sierpnia, po czym aresztowanych przeniesiono do gdańskiego aresztu śledczego przy ul. Kurkowej. Proces, któremu ku przestrodze przysłuchiwało się kilkuset żołnierzy Marynarki Wojennej, odbył się 1 września. Oficerów sądzono osobno, określono ich jako „zdrajców ojczyzny”. Nie brano pod uwagę faktu, że dowództwo przyprowadziło okręt do kraju, chroniąc go przed internowaniem, oraz przekonało kilku marynarzy, by wrócili do kraju. Komandor ppor. Iwanow i ppor. Ignatowicz zostali skazani na 15 lat pozbawienia wolności, degradację i pozbawienie praw obywatelskich na 5 lat, ppor. Bogumił na 12 lat więzienia. Podoficerów i marynarzy skazano na kary od 5 do 10 lat pozbawienia wolności. Zbiegłych marynarzy skazano zaocznie na karę śmierci (Semków 2006; Czerwiński 1989). Ani o aresztowaniach, ani o procesie Stefania Cesarz wiedzieć nie mogła. O tym, że wśród uciekinierów był jej brat, dowiedziała się po wielu dniach przesłuchań w gdańskim Urzędzie Bezpieczeństwa.

Dokumenty sprawy przeciwko członkom rodzin marynarzy zbiegłych za granicę z okrętu „Żuraw” znajdują się w zbiorze Komisji Specjalnej do Spraw Walki z Nadużyciami Gospodarczymi i Sabotażem. To dziwne umiejscowienie z uwagi na rodzaj oskarżenia stopniowo wyjaśnia lektura zgromadzonych tam dokumentów.

Drobiazgowa rewizja u Stefanii Cesarz nie dała jakiegokolwiek punktu zaczepienia. W czasie śledztwa pokazywano jej własne listy do koleżanek i kolegów i żądano wyjaśnień, kim byli adresaci. „Szukali w nich strasznych tajemnic, a to były jakieś młodzieńcze, czasami jeszcze szkolne przyjaźnie i miłości. I o tym rozmawiałam godzinami ze śledczymi przez chyba trzy tygodnie” (Relacja Stefanii Hewelt). Było ich trzech, ale tylko jeden z nich, starszy i gruboskórny, straszył Stefanię wysokim wyrokiem. Jego się obawiała. Dwaj młodszy sprawiali wrażenie nieco skrupowanych i mniej gorliwych.

„Winy” aresztowanych zostały opisane w informacji przygotowanej przez nadzorującego sprawę funkcjonariusza śledczego w Warszawie kpt. Krawczyńskiego. Brzmiały dziś absurdalnie, niemal humorystycznie. Adam Szopa zaciągnął się ochotniczo do wojska w 1920 r., a następnie na własny koszt uczył się języka angielskiego. Marcin Barańczak, przed wojną policjant, „był organicznie związany z reżimem sanacyjnym Polski przedwrześniowej”, Józef Mokracki, „stryj jednego ze zbiegłych marynarzy, jest repatriantem w Wilna, gdzie w latach [19]32–38 miał sklep”, Mieczysław Sztylet „posiada krewnych za granicą”, a Bronisław Czaniecki służył w Armii Krajowej (AAN, sygn. 230, k. 1–6).

Atmosfera przesłuchań z całą pewnością nie wszędzie była taka, jaką zapamiętała Stefania Hewelt. Małżeństwo Marcina i Weroniki Czanieckich w podzywieckim Sporyszu aresztowano 12 sierpnia. Bronisław pracował na kolei, Weronika zajmowała się domem. Mieszkali samotnie, trzech synowie wyfrunęli już z domu, najmłodszy Jerzy aż na morze, toteż ich dom został zamknięty na

cztery spusty. Inwentarz żywy oddano pod opiekę sąsiadom. W szczegółowym spisie pozostawionego dobytku znajduje się kilkaset pozycji, policzono pierzyny, kalosze, podkoszulki, sprzęt domowy i gospodarski. Drobiazgowa skrupulatność nakazuje przypuszczać, że procedura trwała bardzo długo. Nasuwa skojarzenie z rekwizycją.

W czasie śledztwa oboje zeznali, że z najmłodszym utrzymywali kontakt listowny, ale czasem bywał w domu i wtedy zawsze chwalił sobie służbę wojsku. Pewnego razu odwiedzili go w Gdyni, gdzie z dumą pokazywał im port i statki na nabrzeżu. Weronika wysyłała synowi co miesiąc 30 złotych, „by miał na piwo, gdy wyjdzie na miasto”. Syn otrzymane kwoty zawsze potwierdzał, ale ostatnio tego nie uczynił. Podczas jednego z przesłuchań Weronika Czaniecka zeznała:

*Moją ulubioną rozrywką poza pracą to było odwiedzić siostrę, położyć się na trawie, no i kiedy mąż był w domu, razem słuchaliśmy radia. Mąż lubił muzykę, ja natomiast lubiłam słuchać audycji dla wsi, czasem słuchałam procesów, jak były nadawane przez radio. Raz słuchałam radia i zaczęłam szukać coś bardziej interesującego, i uchwyciłam, jak mówili, że 16 polskich marynarzy uciekło, chciałam słuchać dalej, ale nastąpiły trzaski i wtedy zgasiłam. Kiedy usłyszałam „marynarze”, tknęło mnie, czy syna tam nie ma. Później zaraz się uspokoiłam. Wiedziałam, że to zagraniczne radio, bo po co by mówili o „polskich” marynarzach. (AAN, sygn. 230, k. 14)*

Słuchanie zagranicznych stacji radiowych było przecież jednym z oczywistych „przestępstw” i można wątpić, by było to wyznanie dobrowolne.

Stefania Hewelt wspomina, że gdy dowiedziała się wreszcie od funkcjonariuszy UB o ucieczce brata, odzyskała spokój. Wcześniej nie rozumiała, na czym polega jej wina, teraz sądziła, że najdalej po trzech miesiącach odzyska wolność, na tyle bowiem opiewał nakaz aresztowania. Napisała, na żądanie śledczych, „siostrzany” list do brata. Oczywiście nie podała w nim, gdzie się znajduje, ale samo wysłanie go za granicę w takich okolicznościach musiało być dla Władysława Cesarza jasnym sygnałem aresztowania bliskich. Wbrew wcześniejszym rachubom Stefania nie została zwolniona, zamiast tego bez żadnego wyjaśnienia przewieziono ją z aresztu UB do gdańskiego więzienia przy ul. Kurkowej. Gdy wprowadzono ją do środka, na korytarzu zobaczyła stryja stojącego twarzą przy ścianie. Józef Cesarz był kolejną osobą z rodziny, którą zatrzymano i poddano przesłuchaniom, a potem przetrzymywano tygodniami, ponieważ utrzymywał częsty kontakt z bratankiem.

Równie zdezorientowani i zagubieni byli pozostali aresztowani. Halina Pierścionek (służbę na statku „Żuraw” pełnił jej brat Wojciech) znalazła się w areszcie tego samego dnia co Stefania Cesarz. Zapytana przez oficera śledczego, co wie o ucieczce brata, odparła, że usłyszała o tym fakcie trzeciego dnia po aresztowaniu, gdy jeden z żołnierzy podających jej zupę zapytał, czy wie, „za co siedzi”. „Gdy odpowiedziałam, że nie wiem, wówczas tenże oświadczył mi, że siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę” (AAN, sygn. 230, k. 52).

W podaniu do prezydenta Bolesława Bieruta napisanym 19 listopada 1951 r.

mieszkanca Kurowa Agnieszka Jabłońska informowała: „Mój mąż Tomasz Jabłoński został zatrzymany 11 sierpnia br. Powodu zatrzymania ani ja, ani mój mąż nie znamy. Po poszukiwaniu męża dowiedziałam się od prokuratora w Lublinie, że został on zatrzymany w związku z dezercją z wojska i rzekomą ucieczką za granicę mego syna Wacława Jabłońskiego” (AAN, sygn. 230, k. 14).

Jeszcze dłużej w niepewności był utrzymywany kolejny aresztowany, Michał Pierścionek z Gliwic. Wyjaśnienia przyczyn aresztowania domagał się pół roku od chwili aresztowania. 19 lutego 1952 r. napisał do Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Katowicach: „Zwracam się z prośbą o wyjaśnienie mi powodu mego aresztowania, gdyż przez okres 6 miesięcy przebywania mego w więzieniu powód ten nie został mi przedstawiony. Nadmieniam, że przez okres 6 miesięcy od daty mego aresztowania żadnego śledztwa w stosunku do mnie nie prowadzono” (AAN, sygn. 230, k. 13).

22 lutego 1952 r. Bronisław Czaniecki napisał z więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie do Prokuratury Generalnej w Warszawie prośbę o zakończenie śledztwa prowadzonego przeciwko jego rodzinie. „Jak dowiedziałem się w czasie śledztwa, aresztowanie nastąpiło na skutek ucieczki za granicę syna mego Jerzego Czanieckiego oraz pod zarzutem, że ja wraz z rodziną namówiłem go do tego przestępstwa i udzieliłem mu nawet jakiejś w tym pomocy”. Sięgał do argumentów racjonalnych, zwracając uwagę, że syn swoje przestępstwo popełnił jako człowiek pełnoletni. I zapewne z myślą o ratowaniu pozostałych członków rodziny odżegnywał się od jego postępków, zauważając, że „już w młodym wieku wyłamywałem się stale spod opieki ojcowskiej i matczynej. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że do Marynarki Wojennej wciągnąłem się w tajemnicy przed rodziną, bez zgody i zapytania rodziców” (AAN, sygn. 230, k. 25).

W aktach sprawy znajdują się petycje, podpisane własnoręcznie, niekiedy z wyraźnym wysiłkiem, bo przez osoby nieprzyzwyczajone do pisania. Być może z braku jakiegokolwiek reakcji na swoje pismo pani Jabłońska dostała wsparcie sąsiadów, może sama się do nich odwołała, a może oni z własnej woli napisali pismo. W każdym razie był to z ich strony dowód odwagi i solidarności.

*My, niżej podpisani obywatele polscy i mieszkańcy osady i gminy Kurów powiatu puławskiego, świadomi odpowiedzialności prawnej z artykułu 140 Kodeksu karnego za fałszywe zeznania, stwierdzamy, że osobiście znany nam od dawna Tomasz Jabłoński, urodzony w 1897 roku, jest człowiekiem cieszącym się najlepszą opinią w swej gromadzie, dobrym sąsiadem, lojalnym względem państwa obywatelem. Oświadczenie to składamy z własnej woli w uznaniu nienagannego życia i postępowania obywatelskiego Tomasza Jabłońskiego dla przedstawienia do odnośnych władz. (AAN, sygn. 230, k. 15–21)*

List podpisało 137 osób, w tym ks. Stanisław Zawadzki, proboszcz miejscowej parafii. Zapewne poszukując w tym przyczyny aresztowania i dopatrując się pomyłki, sołtys gminy Kurów dopisał, że aresztowany wywiązał się z wszelkich obowiązkowych dostaw, i przybił urzędową pieczęć. Podobnej treści pismo złożyło jeszcze kilkudziesięciu mieszkańców Bochofnicy, rodzinnej wioski Jabłońskiego.

O kolejnego z aresztowanych, 60-letniego Marcina Barańczaka, upomnieli się pracownicy Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. W petycji do Bolesława Bieruta o jego zwolnienie ponad 100 osób zapewniało, że przed wojną jako posterunkowy „w kilkuletniej służbie swojej na tutejszym terenie nie uczynił nam nic złego, lecz był zawsze dobrze ustosunkowany do ludzi pracy”. Po wojnie został magazynierem, uczciwym i cenionym, i „nikt do niego nie ma z jakiegokolwiek tytułu pretensji” (AAN, sygn. 230, k. 52).

Nie ma żadnych śladów, by pisma te odegrały jakąkolwiek rolę w całej sprawie. Są jednak dokumentem świadczącym o ludzkiej solidarności.

Prawdopodobnie z uwagi na brak jakichkolwiek dowodów mimo przedłużającego się śledztwa w Departamencie Śledczym MBP w Warszawie zdecydowano o połączeniu spraw wszystkich rodzin (w sumie 16 osób) i przekazaniu ich nie do zwykłego sądu, lecz do rozpatrzenia przez Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Wniosek podpisał wiceprokurator Prokuratury Generalnej Władysław Dymant, język uzasadnienia jest typowy dla tych czasów. Wymienieni w oskarżeniu ludzie są „najbliższymi członkami zbiegłych za granicę dezertów i zdrajców. W ich środowisku wychowywali się dezertery. Ze względów prewencji ogólnej i szczególnej wniosek o wymierzenie kary obozu pracy jest całkiem uzasadniony” (AAN, sygn. 230, k. 6). Prokurator żądał kary od pół roku do 24 miesięcy. Komisja Specjalna pochyliła się nad sprawą rodzin marynarzy 10 marca 1952 r., a więc dopiero po siedmiu miesiącach od dnia aresztowania.

Orzeczenia Komisji wydane w sprawie rodzin marynarzy zajmują niespełna półtorej strony. Poza danymi personalnymi skazanych oraz określeniem wysokości kary zawierają identyczne i całkowicie arbitralne uzasadnienia, w których uznano, iż „skazani jako najbliżsi krewni zbiegłego za granicę marynarza zachowaniem swoim i wpływem w dużej mierze przyczynili się jego ucieczki, i że postępowanie skazanych stwarza niebezpieczeństwo popełnienia przestępstw godzących w żywotne interesy pracujących dla Polski Ludowej...” (AAN, sygn. 230, k. 25–32).

Sześć kobiet i dziesięciu mężczyzn skazano na kary zaproponowane przez prokuratora. Tylko niektórym wliczono do kary czas pobytu w areszcie. Dodatkową szykaną był zakaz pobytu w dotychczasowym miejscu zamieszkania na okres 5 lat od uzyskania wolności.

Stefania Hewelt wspomina, że o skazaniu na 12 miesięcy obozu pracy dowiedziała się dopiero po 11 miesiącach od dnia aresztowania. Tyle czasu przebywała na oddziale śledczym, bez żadnych informacji na temat swojego losu. „Pewnego dnia zostałam przeniesiona do celi, gdzie przebywały już więźniarki z wyrokami. Wtedy dopiero i mnie wręczono wyrok, który musiałam pokwitować. Liczył się od dnia aresztowania, pewnie dlatego nie pojechałam już do obozu pracy” (Relacja Stefanii Hewelt). Uważa, że miała dużo szczęścia. Zgodnie z wyrokiem po wyjściu z więzienia obowiązywał ją jeszcze pięcioletni zakaz mieszkania na Wybrzeżu, ale gdy poszła do dawnej pracy, po prostu przyjęto ją z powrotem. Kierowniczką kadr uznała jednak, że należy Stefanię „schować” przed oczami władzy. Dostała niższe stanowisko, gorzej płatne, lecz uniknęła wysiedlenia.

Gdy nadeszła „odwilż”, jesienią 1956 r. Stefania Hewelt postanowiła wystąpić do sądu o rehabilitację za niesłuszne skazanie. Rozprawa odbyła się w Warszawie. Sąd uznał wyrok za niesłuszny i przyznał jej odszkodowanie. Dopiero przy tej okazji dowiedziała się, jak nieoczekiwanie jej życie zostało połączone z losami nieznanymi jej ludzi. „Spotkaliśmy na korytarzu jedną z rodzin sądzonych w tej samej sprawie – to była starsza pani z synem. Dla nich ta sprawa skończyła się dramatem, zabrano im gospodarstwo, jej w śledztwie wybito zęby, mąż zachorował w więzieniu na gruźlicę. Teraz był umierający i bardzo jej zależało, by został przed śmiercią zrehabilitowany” (Relacja Stefania Hewelt). Stefania Helwelt nazwisk nie zapamiętała. Tyle lat minęło...

### Przypisy:

\* Na historię rodzin załogi „Żurawia” natrafiłam, przeglądając akta Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. W jednej z teczek zebrano protokoły przesłuchań aresztowanych, świadków i inne dokumenty dotyczące tejże sprawy. Odnalazłam występującą w aktach Stefanię Cesarz – napisałam do niej list z prośbą o kontakt i wysłałam go na adres widniejący w aktach. Okazało się, że nosi inne po mężu nazwisko, ale wciąż mieszka w tym samym mieszkaniu w Gdańsku-Wrzeszczu, skąd przed laty zabrało ją UB. Być może dlatego jej opowieść jest tak plastyczna. W chwili spotkania była już na emeryturze, do końca pracowała w Trójmieście jako urzędniczka. W latach 70. została ponownie aresztowana na skutek fałszywych podejrzeń o nadużycia finansowe i znalazła się na kilkanaście godzin w tym samym więzieniu przy ul. Kurkowej, gdzie spędziła kiedyś kilka miesięcy. Przeżyła szok, wróciły wszystkie złe wspomnienia. Z bratem spotkała się ponownie dopiero w latach 70. Usłyszała wtedy o szczegółach ucieczki. Okazało się, że brat wcale jej nie planował. Został postawiony przed faktem dokonanym, ale wybrał wolność.

### Bibliografia:

„Głos Wybrzeża”, 11 VIII 1951, s. 1.

Relacja Stefania Hewelt z d. Cesarz, złożona w lipcu 2011 r., w zbiorach autorki.

Archiwum Akt Nowych, Zespół Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, sygn. 230.

Semków Piotr (2006), *Informacja Marynarki Wojennej w latach 1945–1957*, Warszawa.

Czerwiński Julian (1989), *ORP „Żuraw” – uprowadzenie czy... prowokacja?*, „Przegląd Morski”, nr 5.

Korekta językowa: Beata Bińko

---

**[ŻYCIE REWOLUCJI/A. Omówienie książek](#)**

# „Ukraińska noc” Marci Shore i „Pokolenie Majdanu” Ioulii Shukan\*



ANNA MULLER

## **ŻYCIE REWOLUCJI/A**

**Omówienie książek „Ukraińska noc” Marci Shore i „Pokolenie Majdanu” Ioulii Shukan\***

Dwie historyczki, dwa sposoby myślenia i pisania o świecie, dwie podobne wrażliwości. Marci Shore i Ioulia Shukan to badaczki, które podjęły się zadania przybliżenia zachodniemu czytelnikowi znaczenia rewolucji i wojny w Ukrainie. Tym, co obie pozycje wyróżnia wśród książek poświęconych wojnie w Ukrainie, jest ich głęboki humanizm i skupienie się na człowieku, na jednostkowym entuzjazmie, strachu i bólu. Obie autorki starają się odtworzyć ludzką twarz Majdanu. Przez skoncentrowanie uwagi na jednostkowych emocjach, czasem na pozornie nic nieznaczącym szczególe, pozwalają nam zobaczyć więcej, a przynajmniej dają poczucie, że przez zrozumienie tragedii, która towarzyszy jednostkowym decyzjom, możemy lepiej ten konflikt zrozumieć. Spośród nich tylko Shore była dotychczas znana polskim czytelnikom, głównie z prac o polskich i żydowskich intelektualistach aktywnych w okresie międzywojnia. W nowej książce wyraźnie widać cechy charakteryzujące jej pisarstwo – skupienie się na indywidualnych decyzjach w kontekście uwarunkowań historycznych. W tym sensie tegoroczna publikacja stanowi kontynuację jej zainteresowań.

Ioulia Shukan jest socjolożką od lat zajmującą się Ukrainą, konfliktem z Rosją, analizującą zarówno dynamikę rozwoju demokracji, jak i problemy, z jakimi nowe państwo się zmagają. Decyzja, by podjąć badania etnograficzno-socjologiczne nad konfliktem, który w 2014 r. wzburzył świat i podzielił Ukrainę, jest więc konsekwencją jej poprzednich zainteresowań. Shore popchnęły do tematu egzystencjalne pytania o naturę rewolucji i obawa przed siłą, która sprawia, że z dnia na dzień wojna może się stać codziennością. Ta

obawa jest również czymś, co podziela Shukan, pisze ona bowiem: „Wojnawydarza się gdzieś daleko, w odległych krajach” (Shukan, 7). Z perspektywy zachodniego świata wojna w Europie jest aberracją, złem, które zachodnie myślenie o dialogu i współpracy wyeliminowało. Tymczasem w ciągu zaledwie kilku miesięcy stała się ona codziennością. U Shore rodzi to pytanie o moment, kiedy „protest staje się rewolucją, a następnie wojną, która jednych łączy, a drugich dzieli”, moment, „kiedy to, co polityczne, staje się egzystencjalne” (Shore, xiii). Ta wojna zdaje się negować wieki rozwoju społecznego, intelektualnego i emocjonalnego, gdy jednostka była usytuowana w centrum; proces, w wyniku którego grupa staje się ważniejsza od jednostki, wydaje się powodem egzystencjalnego niepokoju Shore i źródłem badań socjologicznych Shukan.

Obie książki to zbiory szkiców, które chronologicznie prowadzą nas przez Euromajdan, Majdan, w końcu aneksję Krymu i wojnę w Donbasie – od ruchu popierającego związki Ukrainy z Europą poprzez transformację Euromajdanu w ruch narodowy w obronie niezależnej Ukrainy aż do wojny z Rosją. U ich podstaw leżą spotkania i rozmowy z ludźmi, przez próbę zrozumienia źródeł zaangażowania w Majdan pozwalające odsłonić wewnętrzną dynamikę wydarzeń. Shukan rozmawia z ludźmi, którzy mogliby być naszymi sąsiadami. Są tacy jak my (Shukan, 11). Rozmówcy Shore, spotykani w Wiedniu, Warszawie czy Kijowie, często należą do elit kulturalnych i politycznych. W obu przypadkach jest to opowieść o ludziach, którzy wcześniej nie zajmowali się polityką, a jednak wtedy coś ich do takiego zaangażowania popchnęło. W obu przypadkach jest to opowieść o procesie, w wyniku którego jednostka zyskuje siłę przez solidarność z grupą. Shukan nazywa zaangażowanych armią mrówek (Shukan, 151). Shore za Sławą Wakarczukiem, liderem ukraińskiej grupy rockowej Okean Elzy, mówi o nich jako kroplach w oceanie (Shore, 68). Nieco dalej cytuje ukraińskiego historyka Jarosława Hrycaka, porównującego ludzi do pikseli, które dopiero w masie mogą ukazać całościowy obraz (tamże, 68). Metafory funkcjonują w obu książkach jako obietnica siły, jaką niesie solidarność – zwłaszcza jej mocy sprawczej. Myślenie Shore zdaje się jednak przenikać zarazem obawa o wpływ grupy na jednostkę.

Obie książki są więc inspirowane czymś więcej niż tylko ciekawością poznawczą. Shukan, francuska socjolożka urodzona i wychowana na Białorusi, od momentu wybuchu zamieszek na Majdanie była w ich sercu, jeździła po Ukrainie, odwiedzała szpitale, sanatoria i domy opieki nad uchodźcami. Z łatwością zdaje się odnajdować we wspólnocie i solidarności, którą tam obserwuje. Jej zainteresowanie przyciągają te budzące się do życia struktury społeczeństwa obywatelskiego lub czegoś, co przynajmniej nosi ślady obywatelskości. Jako socjolożka dokumentuje indywidualny proces tworzenia się społeczności. Amerykańska badaczka Shore przygląda się historii Europy Wschodniej nieco z zewnątrz. Jest historyczką dokumentującą wysiłek obserwowany z perspektywy skomplikowanej historii tego obszaru. Próba przeniknięcia uwarunkowań historycznych sprawia, że często mówi słowami intelektualistów wywodzących się z tego terenu. Jest pełna podziwu dla wysiłku i zaangażowania jego mieszkańców, ale i strachu, że są żywoży, które mogą nas popchnąć do porzucenia codziennego życia i podjęcia tak niewyobrażalnego ryzyka, jak rzucenie się w wir wojny i historii. Jak się rodzi solidarność, która staje się ważniejsza od nas samych (*selfhood*)? – pyta Shore. Dlaczego musi zdarzyć



się tragedia, żeby obudziło się w nas poczucie solidarności i siły grupy? – zdaje się pytać Shulkan.

## Majdan

Obie książki otwiera Majdan. U Shore jest to Euromajdan, gdzie w listopadzie 2013 r. społeczeństwo ukraińskie wyraziło spontaniczny sprzeciw wobec władzy, która zerwała rozmowy integracyjne z Unią Europejską. Był to z jednej strony sprzeciw wobec jej zaniechań i korupcji, z drugiej zaś wyraz tęsknoty za Europą, rządami prawa i poszanowaniem jednostkowej godności, które Unia Europejska symbolizuje (Shore, 157). U obu autorek Unia Europejska jest wyobrażeniem determinującym horyzont oczekiwań i nadziei. Shukan zaczyna szkicem ze spotkania z Denisem i Iulią, ludźmi niezrzeszonymi w żadnej partii, zaangażowanymi natomiast w Automajdan, zrzeszenie kierowców, którzy przewożą rannych, patrolują ukraińskie miasta, dowożą zapasy jedzenia. Dla Denisa i Iulii Europa oznaczała nadzieję na normalnie życie (Shukan, 16). Kiedy nadzieja na to normalne życie zdaje się umierać, rodzi się złość (tamże, 19). Złość i rozczarowanie wytyczają kolejny etap w procesie formowania się tej społeczności. Shore to samo zjawisko uznaje za pretekst, by zapytać o to, gdzie kończy się indywidualny strach i kiedy rezygnuje się z własnej prywatności i bezpieczeństwa.

W obu książkach Majdan zajmuje centralne miejsce. Dla Shukan to bardziej infrastruktura – plac organizujący wielofunkcyjną przestrzeń miejską, w której rodzi się miniaturowe społeczeństwo. Jest to centrum informacji, dystrybucji ubrań, przygotowania i wydawania posiłków, organizacji transportu i jednostek samoobrony, konstrukcji oraz utrzymania barykad i ognia, który pozwala się ogrzać i zjeść posiłek (Shukan, 33). Obie autorki widzą tam jednak również wspólnotę, motywowaną strachem i potrzebą zmiany, ale zarazem rodzącą i radość, i poczucie sensu. Z przestrzeni protestu Majdan staje się rewolucją, jej ideałami i roszczeniami, barykadami i namiotami, atmosferą karnawału i zapachem dymu, który zdaje się oddzielać Majdan od reszty Kijowa. To tutaj prywatne staje się publiczne, publiczne politycznym, a polityczne egzystencjalnym. Shore patrzy jak historyk i widzi synchroniczne wydarzenia – rewolucje, które, pozornie niezwiązane ze sobą, tłumaczą dynamikę zjawiska. Za Hannah Arendt nazywa Majdan skarbem rewolucji (*treasure of revolution*, Shore, 108), czymś, co pojawia się znikąd i znika, rządząc się własnym rozumieniem czasu i przestrzeni, niczym fatamorgana. Przeszłość nieodwołalnie zdaje się sugerować terażniejszość i przyszłość. Takie czytanie rewolucji różni się od podejścia Shukan, bardziej skupionej na dynamice rozwoju grup i procesie formowania się wspólnoty.

Bez względu na to, przez jaki pryzmat patrzą na zjawisko rewolucji, obie autorki najwięcej uwagi poświęcają temu, jak Majdan wpływa na ludzi w nim uczestniczących. Shukan obserwuje codzienne praktyki, a Shore nadaje im kontekst historyczno-filozoficzny. Majdan to źródło samostanowienia. Początkowo jest nim wiara w Europę, ale z czasem źródło przesuwają się na jednostkę – wraz z historiami, które przywołuje Shore, widać, jak rodzi się poczucie wiary w siebie. Shore przytacza słowa historyczki Oli Hnatiuk, opowiadającej, że w grudniowym zimnie bezdomni lepiej sobie radzili z czynnościami, które wymagały sprawnych rąk na mrozie, np. nalewali koktajle Mołotowa do butelek (Shore, 82). Shore zdaje się sugerować, że tak powstaje

poczucie użyteczności i sprawczości. Stąd o krok do poczucia wolności, którą moim zdaniem Shukan i Shore rozumieją w podobny sposób – jako gotowość do podejmowania świadomych decyzji. Symbolicznym świadectwem tego jest brak alkoholu na Majdanie, co podkreślają obie autorki. Gdy to czytałam, przypomniał mi się błysk w oczach Anny Walentynowicz, która podobnie mówiła w sierpniu 1980 r. o wolności i abstynencji w gdańskiej Stoczni im. Lenina w materiale na żywo dokumentującym wspólnotę, która się rodziła w zakładzie. W pewnym momencie jej głos zagłuszył zbiorowy śpiew hymnu narodowego.

Makro- i mikroproces tworzący Majdan opiera się na decyzjach, w wyniku których to, co polityczne, staje się egzystencjalne. „Raz po raz słyszałam w różnych językach, że to był ich własny wybór” – podkreśla Shore (Shore, xvi). Ze świadomością, że wybór jest nasz, przychodzi klarowność decyzji. Kończy się ambiwalencja. I na różnych poziomach tę jasność widać. Podobnie mówią o tym rozmówcy Shukan, podkreślając, że bez względu na to, jak trudna to była decyzja, innej nie mogli podjąć (Shukan, 42). Rewolucja jest siłą, która zmienia ludzi – mówi Shukan. – „Potrzęsa ich codziennym życiem. Wyrwa ludzi z ich zwykłych światów. Sprawia, że zaniebują swoje zawodowe obowiązki. Pociąga ich, czyniąc z nich rewolucjonistów, gotowych do stawienia oporu. Popycha ich do solidarności”. Wyrwanie z bezpiecznej codzienności narusza poczucie stabilizacji, ale i otwiera pokłady empatii, z których my, obserwatorzy sytuacji w Ukrainie, mogliśmy sobie nie zdawać sprawy. Mówiąc o wytrząśnięciu z cynizmu i apatii (Shore, 195), Shore przywołuje słowa czeskiego filozofa Jana Patočki, że solidarność wstrząśniętych jest solidarnością tych, którzy rozumieją (tamże, 107).

Dla obu autorek Majdan to przestrzeń, gdzie w codziennej praktyce dokonuje się rewolucja. Ta przestrzeń staje się laboratorium kontraktu społecznego, który Shore nazywa równoległą (alternatywną) polis (Shore, 44). Na tym etapie rewolucja zdaje się rodzić poczucie wspólnoty znoszące alienację społeczną – Shore cytuje w tym fragmencie jugosłowiańskiego filozofa Gajo Petrovicia (Shore, 126). I tutaj jest, ja sędzę, jeden z pierwszych momentów, kiedy obie autorki się różnią od siebie. Dla Shukan ta różnorodność stanowi świadectwo możliwości mobilizacyjnych, u Shore przebija więcej pesymizmu – na końcu jednego z rozdziałów przytacza komentarz Hrycaka, że Majdan tworzy Arkę Noego, miejsce otwarte dla wszystkich, nawet skrajności: liberałów, socjalistów, nacjonalistów i lunatyków (Shore, 53). Nowy kontrakt społeczny jest wcielany w życie na moment przed potopem. Skąd płynie ten pesymizm: ze znajomości międzynarodowego kontekstu czy świadomości, że większość rewolucji umiera pod własnym ciężarem? Być może też z pewności, że ta jedność jest wywołana potrzebą chwili – wspólnoty mogą się zrodzić tu i teraz pod wpływem spajających emocji, ale nic nie gwarantuje ich stabilności.

## **Przemoc**

Świadomość, że spirala przemocy rozwijała się szybko, towarzyszy obu autorkom. Dla Shukan pierwszy znak, że przemoc zdominuje Majdan, pojawił się 30 listopada wraz z brutalną próbą rozproszenia tłumu (Shukan, 18). W tym pierwszym dniu przemoc skutkowała dziesiątkami rannych i aresztowaniem trzydziestu pięciu osób. To, co się tego dnia wydarzyło, dotknęło bezpośrednio wielu rozmówców Shukan i Shore, a pośrednio dziesiątki tysięcy Ukraińców. Pisząc o zastosowanej w stosunku do manifestujących

nieproporcjonalnej skali przemocy, Shukan nazywa to efektem rykoszetu, który uderzył w serca protestujących. Wygenerowany gniew zadziałał jak potężny mechanizm mobilizacji (Shukan, 18). To był kolejny, po wstrzymaniu negocjacji z Europą, wstrząs, który zrodził solidarność w obronie godności, nawet jeśli bez udziału Europy. Według Shore to następnego dnia, 20 grudnia, Euromajdan stał się Majdanem.

Również ta autorka postrzega rosnący gniew i gotowość na przemoc podobnie jak Shukan. Przemoc Majdanu była odpowiedzią na zachowanie drugiej strony, rządziło nią zjawisko rykoszetu i poczucie znalezienia się w sytuacji wymagającej interwencji. Opisuje ona rozmowę ze Sławą Wakarczukiem, wspominającego, jak podczas różnych dyskusji z członkami federacji radykalnych organizacji ultranacjonalistycznych o nazwie Prawy Sektor oraz partii Swoboda prosił ich o wstrzeźliwość, by nie użyli przemocy jako pierwsi (Shore, 83). 16 stycznia 2014 r. ukraińska Rada Najwyższa uchwaliła ustawę, która godziła w społeczeństwo obywatelskie i wolność mediów. Ten krok władz dodatkowo zradycyzował społeczeństwo. Shukan opowiada o Danielu Kowzunie, członku Automajdanu, a prywatnie właścicielu firmy informatycznej, który w rozmowie z nią stwierdził, że po 16 styczniu nie miał już nic do stracenia. W myśl nowego prawa za swoją działalność mógł zapłacić więzieniem. Tego dnia na Facebooku napisał, że czas protestu dobiegł końca, zaczął się czas rewolucji (Shukan, 39).

Kilka godzin później Kowzun i jego znajomi zorganizowali marsz na parlament. Rozpoczęły się walki uliczne (Shukan, 39). W ruch poszły płyty chodnikowe, petardy, następnie koktajle Mołotowa. Przemoc stała się wyrazem frustracji, która zbierała się od miesięcy. Do aktów przemocy ulicznej szybko włączyły się inne grupy: kluby piłkarskie i Prawy Sektor (Shukan, 37–40). To wszystko zadziałało jako detonator ogólnej eksplozji i radykalizacji Majdanu.

*Myśl, że przemoc jest jedynym sposobem, aby wyrazić swój głos, wykroczyła daleko poza najbardziej ekstremalne elementy Majdanu. Mnożą się działania wspierające, autonomiczne i nieskoordynowane (...). Ci, którzy nie chcą używać chodników lub pocisków, są częścią łańcucha logistycznego. Zwyczajni demonstranci, mężczyźni lub kobiety, odsłaniają, rozbijają i przenoszą płyty chodnikowe. Protestujący łamią zlodowaciały śnieg i wkładają go do worków, aby wznosić na Chreszczatyku nowe barykady lub przebudować te, które policja zniszczyła na ulicy Hruszewskiego. (Shukan, 41)*

Walki uliczne stały się chlebem powszednim zarówno protestujących, jak i okolicznej ludności. Pojawili się prowokatorzy, „tituszki”, ludzie opłaceni przez władze ukraińskie celem prowokowania bójek i starć z działaczami opozycyjnymi. 22 stycznia odnotowano pierwsze śmiertelne ofiary przemocy (Shukan, 43). Dla Daniela Kowzuna, żydowskiego lewicowca, przemoc stała się legalnym środkiem działania, nawet jeśli oznaczało to kroczenie ramię w ramię z ultranacjonalistami (tamże, 45).

Dla Shore moment przełomowy przyszedł później, 19 lutego, w dzień krwawej łaźni, kiedy siły rządowe przystąpiły do masakry manifestujących, „a niebo stało się czarne od dymu” (Shore, 90). W mieście zapanowała panika: kijowanie stali w długich kolejkach, żeby wypełnić zbiorniki paliwa benzyną,

wyciągnąć wszystkie pieniądze z bankomatów i zrobić zapasy jedzenia (tamże, 112). Na samym Majdanie udało się jednak opanować strach. Mężczyźni budowali barykady, podczas gdy kobiety przygotowywały koktajle Mołotowa. Nie opuszczało ich poczucie, że mogą być obserwowani przez snajperów (tamże, 111–112). Shore nazywa to momentem poza wszelką analizą (*non-analytical point*). Nie tłumaczy, co to oznacza, być może jest to chwila, gdy do historyka dociera, że dostępne mu narzędzia nie pozwalają na zrozumienie spirali przemocy i dynamiki, która zasadniczo zmieniła tożsamość Majdanu. Strach mobilizuje, popychając ludzi nawet do działań, które mogą się okazać dla nich destruktywne.

Shore wielokrotnie pisze o Majdanie i rewolucji jako walce przeciwko *произвол* (*proizwoł*), co tłumaczy jako bycie z kaprysu władzy zabawką (Shore, 127). Walka, której się podjęli, jest walką o potwierdzenie własnej podmiotowości, jest wyrazem samostanowienia. To była esencja rewolucji o godność rozgrywającej się na Majdanie. Ale czy przemoc, która się na Majdanie pojawiła i na którą Majdan się otworzył, nie wypaczyła tego, co zostało osiągnięte do tej pory? Obie badaczki zdają się widzieć problem podobnie – przemoc znalazła się na końcu łańcucha, który dał szansę na wykształcenie samoorganizującego się społeczeństwa, była kolejnym etapem mobilizacji i zarazem w jakimś sensie zaczęła podkopywać jego spójność. Shore pisze o momencie, kiedy powrócił alkohol, Shukan o potencjale destrukcji powoli wyzwalającej się z ludzi.

## Wojna

Wojna, która wybuchła na wschodzie Ukrainy wiosną 2014 r. wraz z próbą odłączenia Donbasu od Ukrainy, jest kolejnym rozdziałem konfliktu rozpoczętego na Majdanie. To nie jest już konflikt społeczeństwa z władzą, lecz konflikt dwóch wizji Ukrainy lub Ukrainy i Rosji. Podczas gdy Shore próbuje zrozumieć historyczny kontekst wojny, Shukan skupia się na wysiłkach społeczeństwa i wpływie, jaki konflikt na nie wywiera.

Shore próbuje zrozumieć Donbas, region na wschodzie Ukrainy, gdzie wkrótce po obaleniu Wiktora Janukowycza pojawili się separatyści żądający jego oddzielenia od Ukrainy i włączenia do Rosji. Dla Shore Donbas to miejsce pełne sprzeczności, tam bowiem pewne logiczne rozwiązania, do których jesteśmy przyzwyczajeni, nie mają sensu. „W Donbasie separatyści bronili pomników Lenina i świętości sowieckiej przeszłości. Ale bronili też świętości przeszłości carskiej. Wszystko się tam pomieszało”, mówi (Shore, 213). Dla Hiroakiego Kuromiyi, historyka i autora książki o Donbasie, na którego Shore się powołuje, tradycyjne kategorie klasy i narodu, powstałe w reakcji na oświecenie, nie przystają do opisu tego miejsca. Rządzą tam wszechobecny terror i specyficznie pojmowana wolność (tamże, 216). Jeden z jej respondentów stwierdza, że tych, którzy wystąpili przeciwko Ukrainie, można podzielić na trzy grupy: pierwsi dołączyli do separatystów za pieniądze, drudzy wierzyli, iż w Kijowie dokonano faszystowskiego przewrotu, a trzecia grupa nie może sobie wyobrazić życia gdzie indziej (tamże, 217). W Donbasie przednowoczesność surrealistycznie przemieszała się z postmodernizmem: watażkowie używają Twittera (tamże, 220).

Shukan skupia się na współczesnym wymiarze tragedii w Donbasie. Pisze o

wojnie jako raku, którego przerzuty naznaczają poszczególne fragmenty Ukrainy. W obu książkach części poświęcone wojnie są wyczerpujące emocjonalnie – z pełnego nadziei Majdanu przenosimy się tam, gdzie jest tylko rozpacz i katastrofa, na którą Ukraina nie jest przygotowana i z którą nie może sobie dać rady. W ujęciu Shukan wojna to zniszczone miasta, infrastruktura, przyroda, zaminowane pola oraz podzielone okopami i barykadami przestrzenie miejskie. Wojna to także katastrofa humanitarna. Latem 2014 r. przestały działać banki i bankomaty, a władze w Kijowie zawiesiły wypłacenie pensji i innych świadczeń na terytorium Donbasu (Shukan, 123). Według Wysokiej Komisji Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców na początku 2016 r. w Ukrainie było 1,5 mln uchodźców wewnętrznych. Uciekinierzy z Donbasu to główna grupa (tamże, 117). Shukan rozmawia z uchodźcami, odwiedza żołnierzy w szpitalach i sanatoriach. „Okazuje się, że w obliczu bezprecedensowych przepływów przymusowej migracji państwo ukraińskie jest niewydolne. Nie wprowadzono żadnego planu ewakuacji ludności cywilnej, zakwaterowanie to prawdziwa tragedia: całkowicie wyczerpała się zdolność zaopiekowania się takimi masami ludzi, nie ma dla nich miejsca nawet w pomieszczeniach przestarzałych i nieogrzewanych zimą”, pisze (tamże, 118).

Być może większy niż Donbas problem stanowi reakcja społeczeństwa na uchodźców. Ukraina to kraj wielu podziałów, które jednak aż do tej chwili uznawano za możliwe do przezwyciężenia. Podczas gdy Majdan zdawał się jednoczyć, wojna podzieliła. Procesy, które rozpoczęły się w Ukrainie wraz z pojawieniem się uchodźców, głęboko wnikają w tkankę społeczeństwa. Rozpoczyna się coś, co można określić jako piętnowanie społeczne: osoby wysiedlone z Donbasu są oskarżane o lenistwo i wygórowane żądania. Mężczyźni są postrzegani jako unikający zaangażowania się w działania wojenne. Czasem ocenia się ich przez pod kątem prorosyjskich separatystycznych sympatii, stają się więc niejako piątą kolumną w nowych przestrzeniach. Wojna podważa spójność ukraińskiego społeczeństwa (Shukan, 121).

Mimo wszystko pojawiają się i promyki nadziei – Stacja Charków, zorganizowana przez Allę Feschenko w mieście, gdzie skupia się najwięcej uchodźców i gdzie znajduje się stacja tranzytowa dla wielu z nich. Stacja Charków to inicjatywa obywatelska stworzona, by pomóc osobom wysiedlonym. Czasem jedyne, co można zrobić, to zapewnić im prysznic, jedzenie i walerianę na dalszą podróż (Shukan, 154). Czasem wystarczy wsparcie i rozmowa. Trochę cierpliwości. W poprzednim życiu Alla, organizatorka stacji, była matką trójki dzieci i właścicielką firmy (tamże, 152). Do działania popchnął ją strach przed wojną i pragnienie uczynienia czegoś dobrego dla Charkowa. „Na stacji, złapana w wir wolontariatu, nie mam czasu na odczuwanie tego strachu, działam przeciwko wojnie, to lepsze niż siedzenie w domu”, mówi Ala (tamże, 153).

Shukan nazywa takich ludzi armią mrówek; są to członkowie wielkiej rodziny ukraińskiej, którzy wiosną 2014 r. porzucili spokojne życie, by odpowiedzieć na konsekwencje wojny w Donbasie. Porzucili czy zostali zmuszeni do porzucenia? Mimo że obie – Shukan i Shore – dostrzegają brak wyboru, zdają się jednak podkreślać, że zaangażowanie jest kwestią poczucia odpowiedzialności za bezpieczeństwo własne i ludzi wokół. Dostarczają oni żołnierzom rozmieszczonym na liniach granicznych jedzenie, buty, ubranie, produkty higieniczne, a nawet sprzęt wojenny. Opiekują się żołnierzami

hospitalizowanymi lub rehabilitowanymi (Shukan, 151). Muszą i chcą coś zrobić, być może w imię solidarności, a może tylko pamięci o solidarności zrodzonej na Majdanie, fatamorganie rewolucji, która znika, ale pozostawia nadzieję, że dopóki nie umarła ludzka życzliwość i solidarność, nie wszystko umarło.

Być może tutaj też tkwi kolejny kontrast z książką Shore. Podczas gdy u Shore przemawia jednostka, u Shukan jest to jednostka będąca członkiem większej społeczności. Kategorie narodu i społeczeństwa są ramami, które wyznacza jej działanie. O ile Shukan widzi mikrostruktury społeczeństwa obywatelskiego obecne w Ukrainie, o tyle Shore dostrzega skomplikowany problem historyczny, który niesie niewielkie szansa na pozytywne rozwiązanie. W tym wszystkim jest i jednostka, zmagająca się z trudnymi okolicznościami dziejowymi. Obie książki się więc uzupełniają. W wielu miejscach przykłady Shukan konkretyzują rozważania filozoficzne Shore albo inaczej splatają się w warkocz opowieści tworzących skomplikowany obraz historyczno-socjologiczny. Obraz, który niejednokrotnie niemalże pozwala nam dotknąć życia ludzi uwikłanych w ten konflikt. Być może ów historyczno-socjologiczny dwugłós sprawia, że bardzo trudno te książki krytycznie zestawić: porównując kategorie rewolucji, zmiany społecznej czy relacji między jednostką a grupą. Obie prace się uzupełniają, pokazując z jednej strony kontekst historyczny, z drugiej zaś socjologiczną dynamikę rozwoju sytuacji. Obie są oparte na solidnych badaniach i metodach określonych przez warsztat historyka i socjologa, a jednak to, co mają do zaoferowania, wychodzi daleko poza ten warsztat. Humanizm i skupienie na jednostkowym wymiarze tragedii rozgrywającej się w Ukrainie wyróżniają obie książki, które budząc w czytelniku głęboką empatię, skłaniają nas do współodczuwania. Wraz z ich bohaterami stajemy się „potrząśnięci” przez historię, wytrąceni z codziennego trybu życia i zmuszeni do zastanowienia się nad własną odpowiedzialnością za świat wokół nas.

### **Przypisy:**

\* Marci Shore, *The Ukrainian Night: An Intimate History of Revolution*, Yale University Press, New Haven 2018, ss. 290.

Ioulia Shukan, *Génération Maïdan. Vivre la crise ukrainienne*, L'Aube, [La Tour-d'Aigue], 2016, ss. 201.

Korekta językowa: Beata Bińko